

Nb5
II

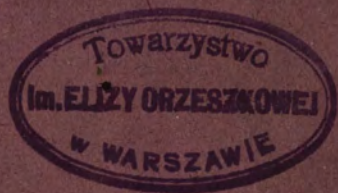


A54.

(32)

Pieśń przewodowa.

Oryginał i Kopia



E. Orzeszkowa

<http://rcin.org.pl>

Nb5
II

<http://rcin.org.pl>

Pieśń przermiana

p. Eliza Orzeszkowa



1

Był to jeden z tych domków, które wy-
dają się uśmiechami wsi, albo jej echem,
spadłymi pomiędzy ulice i kamienice miy-
skie. Malutki, biały, z ganeckiem nadwoż-
stuckach, stał w ogrodzie zaniedbanym,
któremu właśnie zaniedbanie nadawato pro-
zór gestwiny zielonej i szwonej. Driedzińca
nie miał wcale; od ulicy przedzielata go
część ogrodu i parkan z desek tak wyso-
ki, że ani domku z ulicy, ani ulicy z oknem
domku zupełnie widać nie było. Koła, ka-
tek cichy i ładny; zbliska, rudotka, której-
ściany powyginane od starości, niedbale
pobielone okrywały się do połowy w splo-
tach fasoli wijącej się na tykach. Oprócz

fasoli, trochę kwiatów roste na klombie,
pod ganeczkiem, na którym stały dwie taw-
ki wazkie i stare.

Wewnątrz domku pokoiki były małe,
sufity niskie, podłogi grube, piece niezgrab-
ne z zielonych cegieł.

Do jednego z tych pokojków, Klara Wy-
gryczówna wbiegła z kucharki zwało i
nucąc, bo nucita zawsze gdy była zadowo-
loną. Miała na sobie suknię perkalową
w różowe i szare paski, fartuch jłócienny
i rękawy aż do łokci zawinięte. Rękoma
swierzo wmytymi, jeszcze zaczerwienionymi
od zimnej wody, przedko zdjęła fartuch, zwi-
nęła go i schowała do szuflady starej
komódki, myśląc: „trzeba go już wyprać!
już bardzo poplamiony“. Pozem odwinę-
ła rękawy i zaczęła wkładać do koszy-

ka kawałki pokrojonego perkalu, nożyczki, napaństek, nici. Obejrzała się po pokoju i ze stojącej w kącie starenki wzięła księżkę, którą także włożyła do koszyka. Wybiegła jeszcze do kuchenki i przymiósłszy niedworną kromkę chleba wsunęła ją pod perkal, napietniący koszyk. Wtedy już zaśpiewała głośno na nutę walcową. La, la, la! la, la, la!

I wybiegła na ganek. Tu, zatrzymawszy się, spojrzała na fasolę i klombik z trochę kwiatów. Fasola miała już pełno strąków, ale tu i ówdzie, wychylały się jeszcze z pośród jej ogromnych liści kwiaty czerwone jak ogień. Jeden z nich Węgryczówna zerwała i wsunęła we włosy czarne, kręcące się nad czołem, a z tyłu głowy zwinięte tak luźno, że mnóstwo skrętych pasemek rozsypywało się po barku i ramionach. Kwiat fasoli wyglądał w nich

jak ptoryk. Dziewczyna nie była doskonale
 piękną, ale miała surowość lat dwunastu
 i wdzięk żywości nierwyktj, odbijającej się w
 ruchach, w oczach, w uśmiechach. Uśmiecha-
 ta się i teraz patrząc na ogród. Czuta się
 wesolą. Probiła już wszystko co trzeba było
 zrobić i miała przed sobą parę godzin
 swobody zupełnej. Ojciec był w bibliotece,
 brat w szkole, siostra w szwalni; obiad
 ugotowany oczekiwał na ich powrót w
 piecu kuchennym. Ona, po uprzątnięciu
 mieszkania ugotowaniu obiadu, czuta się
 trochę głodną.

Dla tego wzięła do koszyka kawałek chle-
 ba.

Tę go sypiące, w miejscu bardzo ulubio-
 nem, to jest w altanie z brzo koralowe-
 go, która znajdowała się u końca ogrodu,

u samych sztachet, otaczających og-
 ród księżycy. Zlekrwi mogła przesiadzić
 w tej altance godzinę, albo dwie sama
 jedna, z robotą i swemi myślami, wpa-
 dała zawsze w humor wesoty. Ta iskra
 lubiła samotność. Ta główka młoda
 miała bardzo o czym myśleć. Nigdzie
 zaś nie czuła się tak samotną, nie mys-
 lała tak dobrze, jak w tej altance bro-
 wej. Tam, za sztachetami niskimi
 ciągnęła się alea cienista z drzew bar-
 dzo starzych, które rozstępowały się na-
 przeciw altanki, ukazując za trawni-
 kiem rozległym pałac nieduży ale
 piękny, z dwoma basztami i trzema
 szeregiem okien długich, a wąskich.
 Ciemno popielata sciana pałacu, je-
 go okna i balkony, wysuwały się z nad

krzewów rozrzuconych po trawniku,
 wspaniale i tajemniczo. Tajemniczość
 pochodziła z milczenia panującego
 zawsze w pałacu i dookoła niego. Okna
 tam były wiecznie zamkniętymi, i og-
 ród wiecznie pustym. Czasem, na dro-
 gach i trawnikach pracowali ogrod-
 nicy, ale nikt nigdy po nich się nie prze-
 chodził. Nieopodal altanki znajdowa-
 ła się w sztachetach bramka także
 wiecznie zamknięta. Miejsce to, utrzy-
 mywane starannie, było jednak opu-
 szczonym. Klara wiedziała ze stysze-
 nia, że właściciel pałacu książę Os-
 kar, nie mieszkał tu nigdy. Nie obcho-
 dziło ją, w stopniu najmniejszym czy
 pałac miał, albo nie miał mieszkań-
 ców. Lubiła na niego patrzeć i pa-

Trzęąc doświadczać uczucia piękna, którego miała w sobie, instynkty silne. Teraz, siedząc na wąskiej ławeczce z jednym krzakiem brzo koralowego za sobą, a drugim przed sobą, jeszcze nie patrzyła na palac, ani cieszyła się jego pięknoscia. Szyła pilnie. Przed nią, na stole malutkim, z jedną nóżką, wkopaną w ziemię, stał koszyk z kawatkami perkalu i wyglądająca z pomiędzy nich książka. Na czytanie, i na zachwywanie się jeszcze pora nie przyszła. Robota była pilną. Kupiła niedawno perkalu na sześć koszul dla małego brata; szyła zaledwie czwartą.

Kiedy wszystkie uszyje, przyjdzie kolej na reperowanie bielizny ojca, a potem będzie musiała uszyć dla siebie nową.

suknie, bo te dwie które posiada już się
 kończą. Niestety! wolalaby aby inaczej
 było, ale już się kończą i trzeba zrobić
 nową. Najtansza nawet coś kosztuje,
 a gdy w którym miesiącu zdarzy się spra-
 wunek podobny, musi dobrze potamać
 głowę, aby pensyi ojcowskiej na inne
 rzeczy nie zabrakło. Dotąd jakos' nie za-
 brakło nigdy, ale ojciec nie zawsze ma
 wszystko czego mu potrzeba. Bo potrze-
 bowalby ze swoim słabym zdrowiem
 jedzenia pożywniejszego, zwłaszcza owo-
 ców. Myśl o jedzeniu przypomniata
 jej kawałek chleba wzięty z domu. Wy-
 jęta go z koszyka, ugryzła trochę i poło-
 żywszy na stole, szła dalej. W tej samej
 chwili, ależ która z trzech stron obejmo-
 wata duży ogród sąsiedni, szedł od stro-

ny patacu męzyczna dość wysoki i bardzo sgrabny, w ubraniu domowym z materiału kosztownego i skrojonym wykwintnie, w małym kapeluszu pilcowym na ciemno płowych włosach. Z pod kapelusza widać było owal twarzy delikatny i blady, policzki gładko wygolone i wąsik złotawy, ocieniający wargi cienkie, mające wyraz trochę ironiczny, trochę znużony. Mógł mieć lat trzydzieście kilka; ręki jego były młodzieńcze, sgrabne, trochę niedbale. Szedł zrazu ze spuszczoną głową, a potem przypatrując się drzewom i podziwiając ich wspaniałość. Stały one nieruchomo w powietrzu cichem i w stolicy słońca już prawie jesiennego, gdzie niegdzie przelicecając liściem złotym lub zarumienionym. Kiedy niekiedy

uszkie liście z matym trzaskiem kru-
 szyły się pod stopami idącego, który coraz
 zwałniając kroku, prowadził wzrokiem
 po dwóch zielonych ścianach alei, od
 szczytów natykanych stotem i czerwienią,
 do pni grubych, okrytych porostami, jak
 szmatami koronek zielonawych. Myś-
 lat, że wcale uroczyim kącikiem jest ten
 ogród, choć nieduży i znajdujący się w
 mieście niedużem. Ale może dla tego
 właśnie jest uroczyim, że napetnia go
 cisza taka jakiej prawie niepodobna
 znaleźć w miastach wielkich i nawet
 w rezydencyach wiejskich, ale wielkich.
 Długo żyć w takiej ciszy, mogłoby chyba
 Kameduta; ale na czas jakiś może być
 ona bardzo przyjemną. Wydziela się z
 niej coś kojącego i zarazem obudniającego

marzenia niewyraźne. Chciałoby się w
 tej ciszy i wśród tych drzew starych wi-
 dzieć idyle. Czy tylko widzieć? Może
 także i brać udział w sielance naiwnej
 jak baśnie o pasterkach zakochanych,
 tajemniczej jak gniazda ukryte w zielo-
 nych gęstwinach. Nie są to zapewne ma-
 rzenia bardzo mądre, ale w tem miejscu
 rodzą się w wyobraźni same przez się, ni-
 by sny niktę, po których zostaje przez
 parę godzin trochę tęsknoty na dzie ser-
 ca. A cóż resztę na świecie jest bardzo
 mądrym? Gwar i ścisak ludzki, hardy
 bez wyjątku, cięse także ilością głup-
 stwa, co mądrości; a nawet, jest to pro-
 porcyja ustanowiona zbyt optymistycz-
 nie. Owszem, w gwarach i ścisakach ludz-
 kich mądrości do głupstwa znajduje się w

stosunku szereptego odsetka. Z prawda
do fałszu także.

Ta cisza i te drzewa, nie kłamią przed
nikim, ani przed samemi sobą. A proszę
mi pokazać wśród ludzi takie cudo, któ-
reby nie znato udawania, obłudę, po-
chlebstwa, zalotności. Mężczyźni są po-
chlebcami, kobiety zalotnicami, a nie-
rzadko spotkać można oba te pigkne przy-
mioty połączone w osobnikach płci każ-
dej. Przyjajni mężczyzny i miłość kobie-
ty - żart natury, ukarującej ludziom ide-
aty dla tego, aby przez całe życie byli
dzielnymi goniącymi za motylami. Ale
nie każdy pozwoli aż do końca wyprowa-
dzać siebie w pole. Są tacy, którym doś-
wiadczenie nawet niesbyt długie udzie-
ła przekonania, że z motyla pochwyczone-

go, wkrótce porostaje na dloni trupek
 dość obrzydliwy. Takim, mitem jest odet-
 chnąć niekiedy ciszą i samotnością, z
 których wydziła się zapach idyli, - bę-
 dącej blagą poetów. Bo w rzeczywistości
 idyla niema rżce czerwone, a w sercu
 pociąg magnetyczny do kieszeni pastera
 sakochanego. Tu, zdale od ludzi, korzyst-
 nie bytoby krytać Rochefoucauld'a. Co
 za pendzel ciemny i wiemy prawdziwie ry-
 cia - ciemnej! Trzeba koniecznie przyjść
 do tej alei z Rochefoucauld'em i pod
 drzewami usiądź. ... Czy są tu jakie
 ławki?

Dla robaczenia czy w alei starej i ciem-
 nistej jest jakie miejsce, w którym mogłoby
 usiąść z Rochefoucauld'em, podniósł
 głowę i stanął jak wryty. O kilka kro-

ków przed nim, tuż za ~~stacjami~~, roba-
 czył Dzierżynę w sukni perkalowej w
 różowe i szare paski, na wąskiej tawecz-
 ce, pod krawatem białym szyjącą pospiesz-
 nie. Kwiat fasoli gorzał jak ptomyk w
 jej ciemnych włosach; ciemne kędziorki
 wity się po karku schylnym nad robo-
 tą i po białej szlarze obejmującej szyję u
 brzoju stanika. Średniego wzrostu, wąt-
 ta i sgrabna, z cerą bladą i posowemi
 usty miała pozor delikatny i zarazem
 bardzo swierzy. Szybkość z którą szła, nie
 przeszkadzała jej sięgać kiedy niekiedy
 po kromkę chleba leżącą na stoliku
 zbitym z dwu desek grubych i od staroś-
 ci poprękanych. Odgryzła kawałek i
 przesuwała go szła znów. Chleb był
 ciemny, żeby które się w nim zatapiały

białe i równe jak perły. Dwie trzy minu-
ty szycia i znowu ręka błyskającą napa-
r-kiem, wyciąga się po kromkę, coraz mnie-
szą. Za to roboty już wykonanej przybywa.
Zszywanie dwu kawałków perkalu zbli-
ża się do końca. Jeszcze jeden kęs chleba i
jeszcze ściągów kilkanascie, jeszcze jeden i
jeszcze kilkanascie, aż białe ząbki zamiast
chleba przecinają nitką zaprawioną; drzew-
czyzna wyprostowuje kibić, a przechyloną
nieco głową przypatruje się robocie wyko-
nanej i smaci uznaje, że robota jest dobrze
wykonaną, że chleb był smaczny, że pogo-
da piękna, bo z ust jej wybiega wesola nu-
ta walca. - La, la, la! la, la! la, la, la!

Młody mężczyzna, postąpił kilka kro-
ków i wyszedł z za drzew, przez których
gąszcie dość długo przypatrywał się drzew-

czynie. Suche liście zaszelesciły mu pod stopami. Ona szybko obróciła twarz okrytą wyrazem zdziwienia.

W oczach jej ze zrenicą stotawą i błyszczącą byto trochę przestachu. Odkąd przychodzi tu, więc od lat trzech przeszło pierwszy raz widzi kogoś przechadzającego się po tym ogrodzie. Ale przestach trwał krótko. Powierzchność człowieka zobaconego niespodzianie, sprawiała wrażenie miłe. Był też widocznie grzecznym, bospotkawszy się oczyma z jej spojrzaniem położył nad głowę kapelusz, co odsłoniło czoło pięknie wykrojone, i mające pomiędzy brwiami zmarszczkę pionową. Ta zmarszczka, w obec młodości postawy i twarzy, od pierwszego wejrzenia rzucata się w oczy, zarówno jak podłużny kształt i białość ręki, podnoszą-

cej kapelusza. Przez parę sekund zdawał się wahać, czy namyślać; potem szybko przystąpił do sztachet i z kapeluszem ciagle podniesionym nieco, bardzo grzecznie wymówił.

— Czy mogę zapytać panią, kto mieszka w tym ładnym domku?

— Oczywiście wskazywał na białą ruderkę, topiącą się w splotach fasoli.

Ona zmieszana trochę odpowiedziała.

— My tam mieszkamy...

Zaraz jednak poprawiła się.

— Ojciec mój, Teofil Hygrycz, ja i rodzeństwo moje...

Układ jej i sposób mówienia objawiały, że była nawykłą do uprzejmego obchodzenia się z ludźmi i że zmieszana zrazu, przędko odryskiwała śmiałość.

— Mite ustronie, zauważył.

— O, bardzo! potwierdziła z oczyma pełnymi zachwytu; tak zielono tu jest i spokojnie...

— Gniazdko zaiszne, dodał i zaraz zapytał jeszcze. Któż to zasadził przy domku te piękne rośliny, które ocieniają go w sposób tak malowniczy?

Uradowana pochwata, odpowiedziała z żywym blaskiem oczu.

Nieprawdaz, że ślicznie fasola wyrosta nam w tym roku? Sadzimy ją z siostrą każdej wiosny, ale nigdy jeszcze nie była tak wysoką i gęstą...

— Jest istotnie wysoką i gęstą nad podziw. Na klombie też widzę kwiatki. Czy także są przez panią zasiane lub zasadzone?

— Trochę lewkonji i rzedy... tylko trochę, ja i siostra moja, nie mamy czasu uprawiać

więcej....

- Siostrzyzka pewnie starsza?...
- Owszem, młodsza odemnie o lat czterech...
- Wiżc ma lat?...
- Piętnaście...

Uśmiechnęła; ona znówu zmieszana spuściła twarz nad robotę i szyć zaczęła; on, oparty o sztachety patrzył na nią i nie odchodził. Zmieszanie które ją ogarnęło pochodziło właśnie ze sposobu w jaki patrzył na nią.

Wziął był przed chwilą kapelusz i oczy jego w oprawie podługnej, duże, bardzo szafirowe, miały pod czołem przekreślonym zmarszczkę głęboką uśmiech żartobliwy. W tym uśmiechu oczu, w postawie, w sposobie mówienia, trochę powolnym i rozdzielającym sylaby wyrazów, nie było wcale niegrzeczności, ale z całej osoby nieznanego ude-

rzata pewność siebie i wytworność, które
 ją mięszaly. Przytem, wiedziała, że mtoda
 panna nie powinna wdawać się w długie
 rozmowy z ludźmi nieznanymi, ale pa-
 lita ją pro prostu ciekawość: kto to taki?
 Zkąd i jakim sposobem znalazł się w tem
 miejscu zarwycraj bezludnem? Myślała:
 jakbyto się zapytał? ale żadna forma za-
 pytania nie przychodziła jej do głowy.
 Szyta tedy, a przez głowę jej mknęły myśli:
 może odejść sobie! Może ja powinnam
 wstać i odejść? Ale bytoby to niegrzecznie.
 Pociż mam uciekać? Jestem przecież w
 swojej altance. Niech on sobie idzie zkąd
 przyszedł! Kto to taki? Kto to być mo-
 że? Przystojny... głos szerególniej ma bar-
 dzo miły....

On, pomikrawszy parę minut, głosem

istotnie bardzo miłym, mającym w sobie
coś z miękkości aksamitu, przemówił zno-
wu.

— Co to pani robi?

Nie podnosząc głowy ani oczu, odpowie-
dziata.

Szyję koszulę dla brata...

Nie widziata uśmiechu który przemknął
po ustach niernajomego.

Braciszek dorosły?

Onie, odziesięć lat inłodszy odemnie....

Wzyc pani jest najstarszą z rodzeństwa?

Tak.

— Ale ja w jednym powieedzeniu pani spo-
strzegłem pewne opuszczenie.... pewien
brak.... skłówiła pani: mój ojciec, ja i ro-
dzeństwo moje... A mama?

A mama?

Po kilku sekundach milczenia odpo-
wiedziała zicha.

— Od czterech już lat nie mamy matki.
Umarta....

— I pani zastępuje ją rodzeństwem....

Wciąż sryjąc z głową pochyloną, cicho od-
powiedziała.

Staram się oto... pragnę bardzo... o ile po-
dobna...

Z ust i oczu nieznanego zniknął us-
miech zartobliwy, ramię jego silniej oparto
się o sztachety, po chwili też przemówił.

— Widzę książkę w koszyku... pani lubi
lekturę?

— Tak, bardzo lubię czytać...

— Coż to jest... ta książka?

Wyciągnął rękę nad sztachetami; ona,
nie zaraz i z wahaniem, jednak podała

mu przedmiot zadany. Coż on sobie myśli,
Doprawdy? Stoi i stoi! Rozmawia, i rozma-
wia! Z nie mówi kim jest! To niegreck-
nie, choć z drugiej strony... jest bardzo greck-
nym!

książka miała okładkę grubą i zniszczo-
ną, cała reszta była zniszczoną, czytana
zapewne po wiele razy i przez wiele osób.
Niekoniecznie otworzył ją, zaczął przewracać
kartki i zatrzymał wzrok na wierszach,
przy których znajdował się znak zrobiony
otworem.

— Czy to pani podkreśliła te wiersze?

— Tak, cichutko odpowiedziała.

— Tak się pani podobają!...

Półgłosem, zaczął czytać wiersze podkres-
lone.

— Przenosi moją duszę utęsknioną,

Do tych pagórków lesnych do tych łąk zielonych,
 Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych,
 Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem...
 Z jakolwiek półtęśm tylko, krytał jednak
 piżknie. Dźwięczyła doświadczyta wrażenia
 szerególnego. Nigdy w życiu nie słyszała poe-
 zyi krytanej głosno, a ten głos był taki akso-
 mitny, przejęty piśszczętą z czermsi jeszcze
 na dnie, jakby z trochę smutku.... On, głos
 ten swój zawiesił na chwilę i pomyślał. -
 Jednak daleko znalazłem się od Rochefou-
 cauld'a... w stronie zupełnie przeciwniej...
 Z krytał dalej.

- ... Gdzie bursztynowy świerżop, gryka jak śnieg
 biała,
 Gdzie panienskim rumięncem drzęcieli-
 na pata,
 A wszystko przepasane jakby wstęgą

miedra,

Zielona.....

Jej, niewiedzieć skąd i dla czego, try zaczę-
ty cisnąć się do oczu. Bywato z nią, tak zawa-
sze, ilekroć słuchata muzyki, co zdarzato
się niezmiernie rzadko. Zawstydzita się og-
romnie a obok wstydu, uczuta trochę gnie-
wu. Coż znouu? Nietylko rozmawia z
nią, ale nawet czyta sobie głośno jej książ-
kę, jakby od stu lat byli z sobą znajomymi!
a nazwiska swego nawet nie powiedziała.
Zebrała się na śmiałość i rzec z robotą na
kolanach składając, z poważnym nawet
surowym wyrazem twarzy, zapytata.

— Pan daleko stąd mieszka?

Cruta sama, że wymówiła to pytanie gło-
sniej niż chciała i że zanadto już brwi
sięgnęła. Ale to tak zawsze: kiedy trzeba

zdobyć się na wielką śmiałość, zawsze się coś
przesadzi!

On podniósł oczy z nad książki i trochę
niebale odpowiedział.

— Bardzo blisko...

Poczem, przeczytał jeszcze dwa wiersze.

.... Śród takich pól przedlaty, nad brzegiem ru-
czaju,

Na pagórku niewielkim, we brzoźowym
gaju....

Ale jakby w czasie czytania tych dwóch
wierszy namyslił się, zamknął książkę i
szekł z ukłonem.

— Dotąd jeszcze nie przedstawiłem się pani.

Nie przypuszczałem, aby rozmowa nasza
mogła się tak przeciągnąć. Ale teraz, widzę,
że będę pragnął, aby mogła się powtarzać...

Spuszczył na chwilę oczy, pomyślał, potem

Dokończył.

— Jestem Juliusz Przyjemski, mieszkam w tym drugim domu....

Wskazał na pałac księżęcy. Dziewczyna poweselata; czuła, że przyzwoitości towarzyskiej stało się radość; ale była trochę zdziwiona.

Myslałam, że w tym pałacu nikt nie mieszka...

Dotąd; oprócz służących, nikt w nim nie mieszkał, ale wczoraj, przybył tu na czas jaki, jego właściciel.

— Księżę! zawołata.

— Tak; księżę, który z powodu interesów majątkowych zabawi tu czas jakiś....

Ona pomyślała chwilę i z wahaniem zapytata.

— A pan przyjechał z Księżciem?

http://rcin.org.pl

— Tak, odpowiedział; przyjechałem z Księciem Oskarem...

— Pan jest zapewne u Księcia Oskara w gościnie?

— Bynajmniej, pani. Jestem domownikiem księcia, jeździę i przebywam z nim wszędzie i zawsze...

Zastanowił się chwilę i dodał jeszcze.

Jestem domownikiem i zarazem przyjaciелеm najbliższym księcia....

Pomyślała: pewno sekretarz albo plenipotent księcia! Wiedziała o tem, że wielcy panowie miewają plenipotentów i sekretarzy. Co ona tam zresztą wiedzieć mogła, jakie urzędy znajdują się przy dworach książęcych! Pewno są liczne i rozmaite. Ale uczuła radość z tego, że swięto poznany człowiek nie był gościem książę-

cym. Heale nie wiedziata dla czego ja to
ucieszyto, ale ucieszyto. — Czy książe jest mło-
dy? zapytata.

Przyjemski zawahat się chwilę, a potem
z uśmiechem, który wydat się jej trochę
dziwnym, odpowiedział.

Tak i nie; żyje nierbyt długo, lecz doś-
wiadczył wiele....

Potakując wstrząsnęła głową.

O, tak! Wyobrażam sobie ile szczęścia
i przyjemności doświadczyć musiał!

Pani tak myśli?

Naturalnie. O, Boże! Będzie tak boga-
tym, może robić zawsze co mu się tylko po-
doba!

Cienkimi palcami przerycając w nie-
chęnia karty książki, odpowiedział.

— I nieszczęście jego w tem tylko.... że

mnoŝtwo rzeczy przestało mu się podobać.

Zastanowiła się chwile.

— Pewno, rzekła, wiele rzeczy może okarać się nie takimi dobrymi i miłymi jak z początku, albo daleka....

— Pani to już rozumie? z niejakim zdziwieniem zapytała.

Z wesołym uśmiechem odpowiedziała.

Zyję niedługo, ale już wiele doświadczyłam...

Naprzykład? zapytała zartobliwie.

Miałam już kilka albo i kilkanaście takich wypadków, w których czegoś bardzo chciałam, o czymś bardzo marzyłam, a potem ~~chciałam, o czymś bardzo marzy-~~łam, a potem przekonałam się, że nie warto było chcieć i marzyć...

— Naprzykład? powtórzyła.

— Naprzykład, pragnęłam mieć przyja-

9-14
12
ciółkę ale taką serdeczną, serdeczną, z którą
mogłybyśmy żyć prawdziwie razem.

— Co to znaczy: żyć prawdziwie razem?

— To znaczy: nie mieć nic osobnego, tylko
wszystko wspólne. Wspólnie myśleć o wszyst-
kiem, wzajemnie pomagać sobie we wszyst-
kiem, wspólnie cieszyć się i budować....

Piękny program! czy udał się pani?

Spuściła twarz nad robotą.

Nie udał się. Już ze dwa razy myślałam,
że mam taką przyjaciółkę i byłam og-
romnie szczęśliwą, a potem....

— Pani pozwoli dokończyć? potem prze-
konata się pani, że popierwsze: te przyja-
ciółki były daleko mniej mądre od pani,
wzise niepodobna było razem z niemi mys-
leć, po drugie, że prawdziwie nie kochały
panią... Tak?

- Szyjąc ciągle twierdząc skingta głową.
- Niewiem, czy były mniej nagle odemnie, ale że nie kochały mię prawdziwie, to pewno.

On mówił swolna.

- Odadywały pania, ... kopały pod pania, dotki... za byle drobnostkę obrażały się na pania, a same co moment obrażały...

Drwiła się ogromnie i podnosiła głowę.

— Kąd pan wie?

Zasmiał się.

- Piszę doswiadczat tego samego, tylko na bardzo szeroka skalę. Był z początku niezmiernie czutym i naiwnym, wierzył w przyjaźń, w miłość, w szczęście... un tas des choses w tym rodzaju, a potem przekonał się, że jeoni ludzie jego nuda, a innych on nuda, że każde serce ma na dnie

interes, a każda radość zwracę... Dla tego
jest zarazem i młodym i starym.

Stuchata uważnie, potem ze współczu-
ciem szepnęła.

— Biedny! Taki bogaty, a taki biedny!
Przyjemski zamyslił się. Stat cizgle oparty
o sztachety, wzrok spuścił ku ziemi i zmar-
szeczka pomiędzy brwiami stając się głąbo-
ką, rzucała mu na twarz wyraz znuże-
nia i cierpienia. Ona przez chwilę patrza-
ła na niego z zamysleniem, a potem z ży-
wym błyskiem oczu zawołała.

http://rcin.org.pl

— Jednak są rzeczy zawsze miłe, piękne,
dobre i książę, pomimo, że tyle Doświadczył,
musi być jednak bardzo szczęśliwym....

Podnosząc powieki zapytała.

— Jakież to rzeczy?

Żywym gestem wskazała na ogród za

sztachetami.

— Naprawdę, taki ogród! O, Boże, ileż razy siedząc tu myślę, jakie to szczęście może sobie zawrzeć, gdy tylko się pobożba, chodzić i siedzieć pod takimi drzewami, patrzeć na piękne kwiaty, mieszkać w domu z taką piękną architekturą....

Ja szczęśliwą już jestem ile razy siedzę tu i tylko patrzę na linje tego pałacu, takie zgodne i eleganckie, na te drzewa, na ten trawnik.... Wie pan, w kwietniu tyle fiołków bywa na tym trawniku, że trawa znika prawie pod nimi i robi się on cały fioletowy, a zapach idzie od niego tak silny, że aż do naszego domku docho-
dzi....

— Pani jest bardzo wrażliwą na piękność....
Ona, ożywiła się teraz ogromnie. Z żywe-

mi gestami i wesolo opowiadać szczegóła.

- Co ja się też napracowałam i nastara-
łam oto, aby w tym domku zamieszkać!.

Zobaczyłam go raz wypadkiem. Przechod-
ziłam ulicą, brama w parkanie była ot-
wartą i przy niej stał stragan z owocami.

Zaszłam aby kupić trochę owoców dla ojca.

Patrzę, taki śliczny domek stoi w ogrodzie
jednym, a tuż obok drugi ogród, daleko

większy, z takimi pięknymi drzewami. Tak

mi się zechciało, aby ojciec i dzieci miesz-
kały w tym domku, pomiędzy tą zielonością,
w takim spokoju miłym... sama też Bóg

wie co dawałabym była za to, aby tu mieszkać.

Ale było bardzo trudno... Musiałam wynaj-
leść w tasciela, dobieć się do niego, bo to jest

bogaty człowiek i mieszka w środku miast-
ta, w kamienicy ogromnej. Kilka razy

http://rcin.org.pl

do niego chodziłam, zaim w rękciat rozmó-
 wie się zenną. Potem okarato się, że to
 dla nas trochę za drogo, że trzeba było cze-
 kać, że przenosiny kosztują wiele...! Mnós-
 two było bied i trudności rozmaitych, ale
 przetrwałyśmy wszystkie i dzięki Bogu
 przenieśliśmy się tutaj... Już przeszło trzy
 lata temu...

Wise pani miała lat szesnacie kiedy
 dokonywała takich czynów bohaterskich....

Zasmiała się.

Do bohaterstwa to daleko, ale trzeba by-
 to silnego postanowienia. Jestem też prze-
 konana, że zdrowie ojca podtrzymuje się
 jako tako, tylko przez to, że mieszka on w
 takim dobrym powietrzu i w takiej ciszy.
 Gdybyśmy byli porostali na dawnym miesz-
 kaniu, w szałku brudnym i krzykliwym,

kto wie, co by było? A tu, ojciec ma się
nielepiej wprowadzić, ale i nie gorzej i
wszystkim nam dobrze...

— Dobrze! z zamysleniem powtórzył Przy-
jemski; więc pani czuje się zupełnie szczę-
śliwą odkąd tu mieszka?..

Szyjce smutnie wstrząsnęła głową.

Nie zupełnie; bo wcale, wcale nie jestem
spokojną o zdrowie ojca i o przyszłość dzieci...

A o swoją?

Tym razem, podniosła na niego oczy ogrom-
nie zadziwione.

— O swoją przyszłość? A cóż mi się stać
może?

Jestem już przecież dorosłą i w każdym
wypadku dam sobie radę...

— To pani szczęśliwszą jest od księcia, bo
on nie może dać sobie rady...

http://rcin.01g.pl

— Z czem?

— Ze wszystkim. Sam nie wie co ma robić z sercem zrażonem, bo po wielokroć zrażonem, z dniami i godzinami, które nie mają celu.

— Biedny! westchnęła znowu; ale po chwili, bardzo żywo mówi zaczęła.

Mnie się jednak zdaje, że książę mógłby być szczęśliwym, tylko albo nie chce, albo nie umie.

Doprawdy, może jestem zarozumiała, ale zdaje mi się, że będąc na jego miejscu wiedziałabym co robić z sercem i z życiem.

— Doprawdy? Cożby pani robiła?

— Weszłabym na szczyt tej baszty, widzi pan, tej... na sam szczyt... i obejrzałabym z niego całutkie miasto. Zobaczyłabym wszystkich, którzy tylko w niem

ryją, cierpią, czegośkolwiek potrzebują i...

Urwata i najniespodzianie zapytata.

— Widział pan kiedy medalik z matką
Boską paryską?

— Daje mi się... zapewne... nie dobrze so-
bie przypominam....

Matka Boska paryska stoi, a z obu
jej rąk leją się potoki promieni... takich
promieni co pocieszają, i co oświecają, i co
od złego bronią....

— Gdybym była na miejscu księcia wesz-
tałabym na tę barykadę, spuściłabym ręce i la-
tałabym z nich potoki, potoki promieni...

O, Bore, jaka byłabym szczęśliwa!...

Mówiąc kryminalne gesta odpowiednie. Uka-
zywała na szczyt barykady, potem spuściła
ręce i wstrząsała nimi, jakby coś z nich
syłała na ziemię.

Przyjemski słuchał, oczy jego poś zmar-
szką głęboką, nabierały blasku i miłk-
kości.

— Ładnie, bardzo ładnie! szepnął do siebie.
Ale zaraz, z trochę ironji przemówił głośno.

— Święta wiara w zbawienne skutki filan-
tropji!

Nie będę jej pani odbierał. Nie trzeba
pani nie odbierać, i... nie dodawać... Nie
wiem jak tam z księciem, ale co do mnie...

Z lekkim uchyleniem kapelusza, który
przed chwilą włożył był na głowę dodał.

— Szczęśliwy jestem, że trać pozwolit mi
panią poznać....

Twarz jej okryta się rumieńcem karmi-
nowym. Łaczeła prędko, prędko wkładać
robotę do koszyka.

— Pora mi już do domu....

— Już? zapytał z zalem.
 Spojrzał na książkę którą trzymał w rę-
 ku.

— Czy pani będzie łaskawa, pożyczyć mi
 tę książkę do jutra?

— Oczywiście, z przyjemnością, uprzejmie od-
 powiedziała.

http://rcin.org.pl

— Oddam ją pani jutro... gdy pani znówu
 o tej porze przyjdzie do tej altanki. Dobrze?

Dobrze, bez wahania odpowiedziała, ja
 tu codziennie przechodzę, kiedy tylko pogoda
 piękna....

— Oby jutro była piękna!...

Od strony domku głos dziewczynny zawołał.

— Klarciu! Klarciu!

Na gancezku z dwoma słupkami stał
 młodec w mundurku gimnazyjalnym, tro-
 chę więcej niż dziesięcioletni i obu ramio-

nami machając ku altance, na caty og-
ród wotat.

— Klarciu! Klarciu! Już przyszedłem!
Ojciec też idzie i Frania zaraz z magazynu
przyleci.... Chodź przódziej i daj obiad!
Okropnie jestem głodny!

— Idź, idź! odkrzyknęła i skinęwszy głową
nowemu znajomemu, odbiegła miata, gdy
on zatrzymał ją jeszcze słowami.

— Niech mi pani na pożegnanie rączkę
poda...

Bez wahania, z uprzejmym dygnieniem
wyciągnęła rączkę i wtedy dopiero gdy ta
rączka zgrabna, ale ze skórą trochę zgrubia-
łą i szorstką znalazła się w dłoni białej,
miękkiej i obejmującej ją uściskiem mię-
kim, stugim rumieniec karminowy ob-
lat twarz jej od czarnych kędziorków

nad czołem, do białej szlarki otaczają-
cej u szyi brzeg stanika.

II

Dużo przed południem, Juliusz Przyjemski siedząc z książką w ręku na ławce ogrodowej, spoglądał często na domek stojący w fasoli pośród ogrodu sąsiedniego. Sztachety niskie i gązpie drzew rozstępujące się w alei, pozwalały widzieć dokładnie wszystko co dzieje się dokota tego domku.

Widział naprzód człowieka wysokiego, chudego z siwiejącymi włosami, który wyszedł na ganek w paltoście znoszonym, w czapce z gwiazdką, ze szczerpłą teczka pod ramieniem. Za nim wybiegła Klara i obie ręce potoczywszy mu na ramionach

coś mówiła do niego, aż podata mu czo-
to do pacatowania i do domku wbiegła.

Chudy, siwy człowiek poszedł z wolna ku
bramce w parkanie, prowadzącej na ulicę,
ale był w połowie drogi, gdy zatrzymało go
głośne wołanie z wnętrza domku. — Tatku!
Tatku!

http://rcin.org.pl

Dziwczynka w sukni jeszcze nie dosię-
gającej ziemi, w błękitnej chusteczce na gło-
wie, uścpiła się jego ramienia i razem
już wyszli z ogrodu.

Przyjemski uśmiechnął się.

— Tatko poszedł do bióra, siostrzycka do
magazynu. Ten Benedykt to sprytny pta-
szek! Powiedziałem mu wczoraj: dowiedz
się! Dzis rana już wszystko wiadział. Try-
dziesci rubli na miesiąc, phi! bieda mu-
si tam aż piszeseć. c Naturalnie,

Od tego są idyle, aby poetyzować na gładno!
Czarny chleb rajada, a w koszyeczku poematy
nosi...

Spuścił wzrok na książkę, którą trzymał
w ręku. Nie był to Rochefoucauld, ale ta
stara książka w podartej oprawie, którą
wczoraj pożyczył od swojej nowej znajo-
mej. Znowu kilkanaście wierszy sakreślo-
nych słówkiem; znowu wice ustęp ulu-
biony. Zobaczymy jaki.

— <http://rcin.org.pl>

„ Słońce już gaśnie, wieczór był ciepły i cichy,
Okrąg niebios górieniegdzie chmurkami rastany,
U góry błękitnawy, na zachód rożany,
Podniósł wzrok z nad książki, zamyslił
się.

— Jak ja to dawno cytatem, jeszcze w
dzieciństwie... Bardzo to ładne! Tu szre-
gólniej pod temi drzewami, w tej ciszy,

lektura bardzo stosowna. . . .

Dzis jeszcze nie oddam jej tej książki i przeczytam ją od początku do końca... Ciekawym co też ona robi w tej churli... za tą fasolą?

Dowiedział się o tem natychmiast. Na maty ganek wyszła Klara drwigażąc w obu rozpostartych rękach coś ciężkiego. Przyjemski pochylit się napróż, aby lepiej widzieć i zobaczył, że Driewczyzna, z rękawami sukni do łokci zawiniętymi niosta małą balję napetnioną płynem, który wylała zwała od domku, za roztorystą jabłonią i krzakami agrestu. Gdy wracała z pustą już balją w opuszczonych rękach, zauważył, że miała przód sukni okryty fartuchem płóciennym.

— Zapewne, Pierre, skoro ma do czynienia

z balją. Taka jednak Delikatna i z rozum-
kiem... Jak ona wczoraj mówiła o tej Naj-
świętszej pannie paryskiej... bardzo ładnie...
bardzo ładnie...

Czytał, myślał, odchodził, powracał,
odszedł na stugo i w parę godzin po połud-
niu wrócił znowu prawie o tej samej po-
rze, o której wczoraj zobaczył Klare. Usiadł
na ławce z tą samą książką, w starej op-
rawie i co chwile, podnosił wzrok z nad-
jej kartek, spoglądając w ogród sąsiedni.
Po pewnym czasie, srybkim ruchem pochy-
lił się, aby lepiej widzieć przez gąszcz.
Ktoś wyszedł na ganek z domku, nawet
dwie osoby wyszły.

Jedną była starszka w ciemnym ub-
raniu, w czarnej chustce na siwiuterkich
włosach, drugą Klara, ubrana jak do

wyjścia na miasto, w zarzutce ciemnej i kapeluszu słomianym, opasanym wstążką. Zeszty z ganeczku i przódkiem przeszedłszy ogród, wyszty przez bramkę w parkanie na ulicę.

— Basta! usmiechnął się Przyjemski; poszta sobie i tu już pewno nie przyjdzie. Spłoszyłem ptaszynę. Szkoda, bo jest mi-
lutką!...

http://rcin.org.pl

Ruchem nerwowym zamknął książkę i poszedł ku pałacowi z pogłębioną zmarszczką pomiędzy brwiami.

Klara, od samego rana myślała nad tem: pójść, czy nie pójść? Dając śniadanie ojcu i dzieciom, sprzątając mieszkani-
nie, gotując obiad, biorąc fartuch swój i różne drobiazgi dzieciinne, co chwilę zapytywała siebie: pójść, czy nie pójść do al-

tanki browej, gdzie z pewnością zjawi się zaraz po drugiej stronie sztachet, p. Przyjemski? Roboty srty jej dris' nie tak gładko jak zwykle, bo co chwilkę stawała i myślała o spotkaniu wczorajszym.

Dziwny wypadek! Spotkać cztowieka nieznaneego, rozmawiac' z nim tak otu- go i nawet ksiazkę mu poryceryc! Nie słyszała nigdy aby ktokolwiek tak pisk- nie crytał. Jaki on mity! Dziwna ta jego zmarszczka na czoie, taka głęboka, a pod nią oczy takie szafirowe, szafirowe, czasem śmiate i śmiejące się, a czasem takie smutne! Jaki on mity! Raz, tak jakos' na mnie popatrzał, że chciałam wstać i uciec.... uczulam coś takiego jakbym się na niego obrzita, niewie- dzieć za co, ale potem zaraz zaczął mó-

więc o książce rzeczy takie zajmujące....
 Jaki on mity! Jak on to powiedział: „Pa-
 ni nie trzeba nic odejmować i nic doda-
 wać!” Jaki on mity!

Ogień kuchenny piekł i rumieńcem
 gorącym okrywał jej policzki; stawata
 też często przed otwartym oknem i z roz-
 koszą czuła powiewy wiatru muskające
 ją po twarzy. Im więcej zbliżała się po-
 ra w której zarwyerał sta do altanki,
 tem większy niepokój ją ogarniał. Wresz-
 cie, zrobiła już wszystko, zdjęła fartuch,
 wyjęła z szafki koszyk z robotą. Jeszcze
 raz: pójść, czy nie pójść?

Przy spojrzeniu na koszyk przypom-
 niata sobie książkę porzyconą wczoraj.
 Jakże? trzeba pójść choćby dla tego, aby
 tę książkę odebrać. Naturalnie, gdyby

nie przysła, cożby uczynił z tą książką?
Musiałby chyba ją odsyłać i sprawiło-
by mu to kłopot z jej przesyłką. Ma się
rozumieć że pojźrie. To jej altanka, ma
prawo w niej przesiadywać, a ten pan
może sobie tam przychodzić, albo nie-
przychodzić, co jej do tego! Yaki on mity!

Z coż w tem ztego będzie, jeżeli znówu
trochę z sobą porozmawiają.

Postanowienie powzięte tak ją ucieszy-
ło, że biorąc koszyk i biegnąc ku drzwiom
zanucila.

La, la, la! la, la, la!

Ale drzwi otworzyły się nim do nich do-
biegła i ukazata się w nich staruszką
trochę krępa i ciężka, w czarnej sukni,
z twarzą okrągłą i rumianą pod włos-
mi jak srebro błyszczącemi, przykrytemi

czarną chusteczką wetnianą. Klara z
uśmiechą pocałowała ją w rękę, ubraną w
wetnianą mitenkę.

- Niech pani droga usiądzie, zapraszam.

- Nawet siadać nie będę, ciężko dysząc
odpowiedziała staruszką, ale przez chwilę
nie mogła mówić dalej, bo z niejaką trud-
nością wyjmowała coś z kieszeni sukni.
Były to dwa rumiane jabłka i garstka
cukierków na straganie kupionych.

http://rcin.org.pl

- Jabłuszka dla taty, a cukierki dla
dzieci, rzekła kładąc na stole przedmioty
przyniesione.

Cery jej duże i bardzo błękitne śmiały
się pod swemi brwiami i uśmiech dobro-
duszny rozchyłał szerokie usta. Klara
pocałowała ją znowu w rękę.

- Dla czego pani nie chce usiąść?

— A bo mi pilno i przysztam po ciebie. Teraz masz czas i możesz pójść zenną do sklepów. Trzewiki nowe muszą kupić; widrisz w jakich chodzę....

Wysunęła z pod czarnej sukni i Klarze pokazywała nogę, użę, płaską, w białej ponocroście i prunedowym trzewiku wydeptanym i znoszonym.

Bez ciebie nie kupię. Oni mię oszukają, Bóg wie jakie dadrą i będe miata niewygodę. Szlerek mi też potrzeba do ogarniowania czepeków, te co były podarty się na nie. Bez ciebie nie kupię. Zarzuc tam co na siebie i chodźmy.

Klara słuchata z głową pochyloną. Zrobilo się jej bardzo smutno, ale zaraz podniosła oczy i przemówita raznie.

— Dobrze, pójde zaraz, tylko wezmę okrycie

i kapelusze.

Zawaz też wyszły. Wyszedłszy, Klara zamknęła na klucz drzwi domku i klucz włożyła do kieszeni sukni. Ojciec miał zawsze drugi przy sobie. Gdy przechodziły przez ogród staruszką mówiła.

Przebrniemy w sklepach pieniądze i dam ci na wpisowe dla Stasia. Już pora raptację, prawda?

Dziękuję pani, szepnęła Klara, gdyby nie pani dobroć, niewiem jakim sposobem moglibyśmy Stasia posyłać do gimnazjum.

— Co tam, co tam! Ręka rękę myje. Ogarnijesz mi crepecki nowemi szlarkami, a?

— Znajwiższą ochotę!
Przed bramką prowadząca na ulicę

http://rcin.org.pl

obejrzała się na altankę brową przytu-
loną do ściany drzew wysokich i rozto-
zystych.

— Adieu! pomyślała i znowu zrobiło
się jej ogromnie smutno.

Po zrobieniu sprawunków ze swoją sta-
rą znajomą i dobrodziejką, biegła do domu
spiesznie, gdy w bramce ogrodu spotka-
ła się oko w oko z jedną z tych swoich
przyjaciółek, o których wczoraj opowia-
dała Przyjemskiemu i które ją zawied-
ły. Zawiedziona, popłakata była trochę,
ale nie chowała urazy do dziewczyny,
która przyjaźniąc się z nią, wysmiewa-
ła się z niej przed znajomymi, nazywa-
jąc ją praczką, flonderką i. t. p. Nie by-
ła już z nią w przyjaźni, ale przebaczy-
ła jej od dawna i widywały się z sobą

niekiedy. Blondynka świeża i różowa jak wiosna, wystrojona, z kwiatami na kapeluszu ślicznym, objęta już i pocatowata. Na Klarze jej pocatunki sprawiały przykre wrażenie czegoś fatalnego, ale poddała się im uprzejmie. Paulinka była u niej i znalazłszy drzwi zamknięte odchodziła.

Na zaproszenie Klary aby wrócić odpowiedziała, że niema czasu i że miała wpaść do niej tylko na chwilkę, bo dziś, za godzinę, wybiera się na przechadzkę samiejską z towarzystwem dość licznym. Idą do lasu, biorą z sobą różne jedzenie w koszykach, będą bawić się bardzo wesole.

Strkoda, że te towarzystwo jest nieznamome Klarze, bo może wzięłaby udział w tej przechadzce...

— Ej nie, przerwała Klara patrząc na jasną i strojnie zrobioną suknię rówieśnicy, domu nie zostawiłabym na tak długo.

— A ojciec?

— Ojciec sypia po obiedzie. Ja ze stasiem lekcye powtarzam.

<http://rcin.org.pl>

Chciała pożegnać towarzyszkę, ale jakiś nie wypadało. Ta zaś mówiła, że wieczór wczorajszy spędziła w jej sąsiedztwie, u Doroty patacu księżęcego, z którego żoną przyjaźni się jej matka.

— Lawrze cię namawiałam, abys się z Perkowskiemi zapoznata, mieszkając tak blisko... ale nie chciales. Wczoraj byto nam weselo, tańczyliśmy nawet trochę i jeden był tylko zawód... pan Przyjemski nie przyszedł....

Klara doświadczyła uderzenia w piersi, ale tak dobrze opanowała siebie, że nawet powieka jej nie drgnęła. Paulina zaś trzępotała dalej.

— Bo Księżę Oskar w tych dniach przyjechał i przywiózł z sobą sekretarza, który nazywa się pan Juliusz Przyjemski, jest w wielkich łaskach u Księcia, u Perkowskiach był parę raz dla interesów, naturalnie, przecież musiał pomówić o różnych rzeczach z rządcą pałacu. Otóż oni go zaprosili na wieczorny wieczorek, a pomiędzy nami mówiąc nawet i wywali ten wieczorek dla tego, aby sekretarza Księcia zaprosić i przyjąć!

Aż tu wzięt i nie przyszedł. Szkoda, bo ogromnie byłam ciekawa tego p.

Przyjemskiego! Młody podobno, brunet
przystojny i bardzo wesoty....

- Brunet!.. powtórzyła Klara.

Ale Paulinka spieszyla się i wygadaw-
szy co miała najworniejszego, zegnata
ją, znouu obejmując i całując.

- Szkoda mi ciebie, moja ty duszko dro-
ga, że tak cięgle w domu siedzisz.. Do
widzenia, do widzenia!

Lece na obiad, a potem na przechadzkę..

Klara wchodząc do domu powtarzala
sobie w myśli: brunet! i śmiała się.

Wcale nie brunet, tylko ciemny blon-
dyn. I nie bardzo wesoty, ale owszem,
trochę smutny. Paulinka jak zawsze,
trzępie o wszystkim co wie i czego nie wie.
Któs jej powiedział, że brunet bardzo we-
soty, ona też powtarza. Pewno państwo

Perkowsy zaprosili go na zbiorową
przechadzkę za miasto, tak jak wczoraj
na wiecór i on pewno będzie im towa-
rzyzył. Bo któżby nie chciał pójść za
miasto, do lasu, ... Jak im będzie przy-
jemnie i wesoło. Chciałaby tam być,
w lesie, z tem towarzystwem; takby chcia-
ła, że aż obu tokami oparta się o sta-
rą komórkę i dlonie przycisnęła do
oszu, które napetrzyły się trzmi. Po
dwóch minutach takiego stania z
tokami na komórcie i twarzą w dlo-
niach, zobaczyła ojca, wchodzącego z
ulicy do ogrodu i wybiegła na jego spot-
kanie.

Dzień przeminał i wiecór się kończył.
W domku pomiędzy fasolą nawet już się
skończył, bo małe okna jego pogasty oprócz

jednego, należącego do pokoiku Klary. Ona
 szyla jeszcze, ale po godzinie dziesiątej
 zostawiła robotę na stole, z zamiarem
 powrócenia do niej wkrótce i wybiegła na
 ganek. Wywabity ją z pokoju ciche sze-
 lesty fasoli poruszanej małym wiatrem
 i gwiazdy, które świeciły naprzeciw niej,
 za oknem. Ganek miał parę wiskodek,
 podziurawionych i kołyszących się od sta-
 rości. Usiadła na jednej z nich, stoniąc
 twarz podparta i wpatrzyła się w wieczór
 piękny, cichy. Cicho tu było bardzo. Nikt
 już nie przejeżdżał o tej porze ulicą cią-
 gnącą się za parkanem, ustronną i pra-
 wie zamieszką. Od środka miasta docho-
 dził szum daleki przez odległość stumio-
 ny i monotony. Wielkie drzewa w ogro-
 dzie księżęcym czasem szumiały z cicha,

crasem milkty i stały wśród zmroku jak
 ściana czarna. Niebo sierpniowe było peł-
 ne gwiazd, które ciemności nocną czyniły
 podobną do zmierzchu wieczornego, pozwa-
 lającego rozpoznawać zarysy przedmiotów
 dość oddalonych. Klara rozpoznawała
 swoją altankę ulubioną, przerowę w wiel-
 kiej alei i w głębi perspektywy otwartej
 przez tę przerowę ścianę pałacu, zarów-
 no jak ściana drzew czarną wśród zmroku.
 Ale na jej tle czarnem jasniał rząd swia-
 tel, które Klarze wydały się zrazu gwiaz-
 dami z za drzew przesuwającemi. Wnet
 jednak rozpoznała, że były to okna oświet-
 lone. Rząd okien pałacowych, długich i
 wązkich, na górnem piętrze był oświetlo-
 nym. Cokąd Klara zamieszkała w sąsied-
 twie pałacu zdarzyło się to poraz piero-

szy. Nic dziwnego, skoro w tej chwili prze-
 bywał w nim wtasciciel. Ciekawość, czy
 tylko księżę znajduje się za temi oknami
 oświetlonemi, czy także i sekretarz jego?
 Zapewne oni często, albo i zawsze bywają
 razem. Ale p. Przyjemski może jeszcze
 nie wrócił z tej przechadzki zbiorowej za
 miasto, którą urządzili państwo Perkows-
 cy. Może zaledwie teraz towarzystwo po-
 wraca z lasu. Czegoż mieliby spieszyć?
 Pogoda sliczna i oni pewno weseli. Przez
 kilka godzin chodzili po lesie, w którym
 o tej porze paprocie są takie ogromne i
 wros kwitnie....

Już przed paru minutami oparta była
 łokie o kolana i twarz potoczyła na obu
 łoniach.

Teraz, z twarzą w łoniach myślała o

tym lesie samiejskim w którym była kilka
 rary w zyciu i obraz jego przedstawiał się
 jej bardzo wyraźnie, z drobnemi nawet szcze-
 gółami. Wyraźnie widziała gęstwinę zielone,
 pod ktoremi biegła ścieżyna kręta, z obu
 stron ścieżyny brzozy cienkie z białą korą,
 wrzos liljowy, mech sivy, paprocie krzacys-
 te. Ta ścieżka idzie para ludzi: p. Przyjem-
 ski i Paulinka, idą obok i rozmawiają z
 sobą cicho.... on patrzy na nią szafirowe-
 mi, takimi bardzo szafirowemi oczyma,
 z pod tej drwonej zmarszeczki i mówi: „pa-
 ni nie trzeba nic odbierać i nie dodawać”.

Wszystko to: las i parę przez las idącą
 widziała pod zamkniętymi powiekami
 tak jasno jak w dzień jasny, ale za to w
 niej samej robiło się ciemno....

Nagle, usłyszała głos aksamitny, który

Dzieląc nieco sylaby wyrazów tuż nad nią
wymówił.

— Dobry wieczór pani!

Niewiadomo co było w niej silniejszem; zdumienie czy radość. Byłaby raczej spodziewała się wszystkiego, niż usłyszenia w tej chwili tego głosu i zobaczenia człowieka, który stał przed nią, z kapeluszem w spuszczonej ręku, z twarzą, na której dojrzała pomimo zmroku uśmiech przyjazny i trochę żartobliwy.

— Przechadzając się po ogrodzie, zobaczyłem panią na ganku i nie mogłem oprzeć się pokusie powiedzenia pani: dobry wieczór. Piękny wieczór nieprawdaż? W tej chwili szczególnie stał się bardzo pięknym. Pani była tak zamysłoną! O czym?

² z początku nie słyszała co mówił tak

silnie uderzato jej serce. Potem też, nie była jeszcze dość przytomną, aby na zapytania jego odpowiedzieć.

Stojąc na wschodce ganku, wskazała wążką laweczkę.

— Proszę, niech pan usiądzie....

A może tu lepiej będzie... pod gwiazdami....

Reką z kapeluszem wskazał na niebo i usiadł na wschodce ganku, która silnie zakotysała się pod nim. Ona usiadła także, nieco zdala. Już odryskiwała przytomność umysłu i śmiałość; uczuciem panującym stało się w niej teraz uradowanie ogromne, które też drwięzowało w głosie gdy zapytano.

— Którego pan wszedł do naszego ogrodu?

— Drogą bardzo pospolitą. Przez bramkę w sztachetach.

— To prawda! Nigdy nie widziałam jej otwartą, zapomniałam że istnieje....

— Zawiasy i zamek były zarzewiate i otwierały się z trudnością, którą pokonałam. O czym pani myślała?

Otwartość wrodzona i radość coraz większa, podyktowały jej odpowiedź wymówioną w sposób wesoty.

Myślałam, czy też państwo wrócili już, albo może jeszcze wracają z przechadzki ramińskiej....

Podniósł twarz ręką oznaczającym zdziwienie.

— Kto to: państwo? zapytał.

— Państwo Perkowscy i pan. Mówiła mi jedna znajoma moja, że państwo Perkowscy zaprosili pana na przechadzkę zbiorową, która musiała być bardzo przyjemną....

Alte dla czego pan nie byl wczoraj na wie-
czorze u panstwa Perkowski? Bardzo
pana tam czekano.

Przyjemski dosc dlugo nie odpowiadat,
a kiedy raczyl mowic, w glosie jego czuc
bylo troche smiechu.

http://rcin.org.pl

Ani na wieczorze, ani na przechadze
zbiorowej panstwa Perkowski nie by-
tem. Ale jezeli pani pozwoli bzdriemy
mowili o czym innym i daleko przyjem-
niejszem niz... panstwo Perkowscy. Bar-
dzo dzikuje za ksiazke, ktora mi pani po-
zyczyla i jezeli jej nie oddaje. Przeczytam
calka i za dni pare zwroce. Wspanialy poe-
mat! Znatem go, ale zdaleka. Wzruszony
jestem pani za to, ze zawiazatam z nim
znajomosc bliska. A teraz, niech mi pa-
ni powie, jak pani caly dzisiejszy dzien

przepięzita i czy nie wydat się pani długim? Dla mnie był bardzo długim. Co pani dris robita?

— To co robię codzień; niema o czym opowiadać...

— Ale przeciwnie; jest bardzo o czym i prosię panią, bardzo proszę....

Zasmiała się wesoło.

Owszem, czemuż nie miałabym opowiedzieć? Cóż? Uprzątnęłam mieszkanie, przygotowałam obiad, wypręłam sobie fartuszek, robiłam sprawunki dla znajomej...
coż więcej? Pomagałam bratu uczyć się lekcyi, nalewalam herbatę, szyłam.

Wszystko to wypowiedziała swobodnie i widoczną nawet przyjemnością. On zapytał.

— A nie czytała pani dris wcale?

— Owszem, czytałam trochę, kiedy ojciec

spat jeszcze, a Stas' już lekcye umiał. Fran-
nia Dris' nastawiata samowar a ja trochę
sobie poczytałam. Książki dostaje czasem
od jednej pani, która była na pensyi nau-
czycielką moją....

— Pani była na pensyi ?

Odpowiedziata, że matka jej z zawodu nau-
czycielka, uczyła ją sama do lat dwunas-
tu, a potem zaczęła posyłać na pensyę, któ-
rej jednak skończyć nie mogła, gdyż po
śmierci matki ciągle obecność jej w domu
stała się konieczną dla ojca i malutkie-
go wówczas rodzeństwa. Przesławiała cho-
dzić na pensyę z wielkim żalem, ale te-
raz, wcale, wcale nie ratuje tego, bo prze-
konata się, że jest w domu potrzebną ko-
niecznie, że ojciec i dzieci nie mogą w ża-
den sposób pozostawać bez opieki....

http://rcin.org.pl

- Tak powarnej! usmiechnął się Prujemski.
- Powarnej! zaśmiała się, gdzie tam! Niem sama, że wiele mi brakuje... ale robię co mogę...

- Aby być aniołem pociechy i pomocy, dokonczył z nich.

Te słowa spłynęły w serce Stodycera, wielką; pochyliła głowę i umilkła.

Ale dla niego nawiązanie rozmowy przerwanej nie przedstawiało trudności najmniejszej. Trochę pochyłony ku niej, zaraz zaprzętał znowu.

- Ktoż to taki ta staruszka, z którą pani dziś wychodziła do miasta?

- Kąd pan wie?

- Widziałem z alei w której siedziałem trzymając w ręku książkę, a myśląc o pani. Ta staruszka była panią Dutkiewiczową.

wą, wdową po weterynarzu, chrześną matką jej matki, osobą niermiernie zacną, dobrą i czyniącą im wiele dobrego. Jest to prawdziwa ich przyjaciółka i dobrodziejka. Dpomagała im nieraz w okolicznościach trudnych, teraz płaci wpisowe za Stasia.

— ²¹Wise jest to osoba majstna? zapytał Przyjemski.

— O, majstna! z zapatem potwierdziła Klara; zajmuje dla siebie jednej trzy pokoje, trzyma służącą....

— ²²Życie zbyt kowne, zauważył, a ona opowiadała dalej.

— Mąż jej miał dochody znaczne i jej pozostawił majątek duży. Mówiła ojcu sama, że ma kapitału piętnaście tysięcy....

— Majątek duży.... powtórzył Przyjemski.

— Bardzo duży, potwierdziła Klara, ale też

wrywa go dobrze. Oprócz nas dopomaga jeszcze kilku innym osobom...

- Kremurby nie? Ma krem się dzielić!
- Tak; i to jest dla niej wielkiem szczęściem; inaczej, nie mając dzieci, nie miałaby żadnego celu życia.

On dokończył.

Ponieważ zaś posiada piętnaście tysięcy, majątek duży, może nasładować Najświętszą pannę paryską!

Opart się łokciem o uśchodkę wyższą, głowę pochylił na rękę i zamyslił się tak głęboko, że Klara spostrzegła i odczuła to zamyslenie. Umilkła też, nie śmiejąc już mówić dalej. Trwato tak że trzy minuty, poczem Przyjemski wyprostował się i z podniesioną głową patrzył w gwiastdy. Przy ich świetle Klara zobaczyła,

że zmarszka jego pomiędzy brwiami, była bardzo głęboka. Po chwili przemówił zcichą.

— Gwiazdy spadają.

Ona także zniżając mimowoli głos, odpowiedziała.

W sierpniu zawsze wiele gwiazd spada.

A po chwili dodała.

Powiadają, że gdy gwiazda spada, trzeba tylko dopóki zgasnie wymówić w myśli życzenie, a będzie spełnione... O, widzi pan, spadała znów? Z tam? i tam? Widzi pan jak spadają!

Patrząc w niebo, z którego to tu, to ówdro, spadały duże iskry złote, wnet gasnące w zmroku podniebieskim, rzekł zwolna.

— Niech pani wymawia życzenie... spada ich tak wiele, że zawsze skończy je pani wy-

http://rcin.org.pl

mawiać przed zgasnięciem którejkolwiek...

Milerała; on twarz obrócił ku niej. Si-
dział tak już blisko, że wyraźnie widzia-
ła jego oczy utkwione w jej twarzy.

— Co prositaby pani gwiazdy spadającej?
Usiłując mieć głos swobodny odpowiedziała.
Jestem szkaradną egoistką. Gdybym wie-
rzyła, że spadające gwiazdy spełniają ży-
czenia ludzkie, prositabym ich ciagle: niech
ojciec mój wyzdrowieje! niech Dzieci ucza-
ją się dobrze i będą dobre!

— A dla siebie? zapytał.

Zadziwiła się bardzo.

— Jakto? przecież ta prośba byłaby właś-
nie o to, czego pragnę najwięcej... więc pro-
sitabym dla siebie.

— Egoizm szkaradny, zauważył, ale czyż
doprawdy nie chciałaby pani, aby gwiazd-

ka ztota przystala pani jakies... jakies
szczęście takie wielkie, że serce przemienia
w gwiazdę palającą i zawieszoną wysoko
nad wszytkiem, co jest na ziemi?

Ona czuła, że serce jej przemienia się w
gwiazdę palającą; i właśnie dla tego, że
to czuła, zakartowała weselo.

Jeżeli już koniecznie miałabym prosić
o coś dla siebie jednej, to prosiłabym, aby
tego lata jeszcze pojsć za miasto i całe
pół dnia przepędzić w lesie. Ogromnie lu-
bię las.

Potem dodała zaraz.

— A pan, o co najwięcej prosiłby gwiazdy
spadającej?

— Ja?

Z zamysleniem mówić zacczał.

— Prosiłbym gwiazdy ztotej o wiarę, że sa

http://rcin.org.pl

na ziemi serca dobre, czyste, wierne i o to,
aby jedno z takich należało do mnie....

Uśmiełt trochę, a potem mówił dalej.

— Prosiłbym jej: gwiazdo jasna, daj mi za-
pomnieć o smach ciemnych, których mia-
łem wiele...

Stuchata słów i głosu czując smutek
zmięszany ze słodyczą. Słodycz szła od me-
lodyi głosu, smutek od znaczenia słów,
mających dla niej głębię niezrozumiałą,
ale ciemną.

On wstał i już swobodnie przemówił.

— Może przejdziemy się po ogrodzie....

Wstata posłusznie i poszli w kierun-
ku altanki browej, po trawie zroszonej,
pomiędzy dwoma rzędami krzaków agres-
towych.

— Prosiłaby pani gwiazdy spadającej o

zdrowie ojca... Czy nie czuje się zupełnie
zdrowym?

— O, tak! jest bardzo słabego zdrowia... od-
dawna...

— Coż jest ojcowi pani?

— Coś piersiowego....

To smutno! Zapewne się leczy?..

Leczył się przed kilku laty, ale teraz już
nigdy nie wrywa lekarza. Kuracje wiele
kosztują, a pomagają niewiele, zapewne z
powodu pracy biurowej ciężkiej i męczącej.
Cała rzecz w tem, aby zachowywał jaknaj-
lepiej higienę przepisaną. Musi wreszcie
udawać się do snu, pić mleko, jeść jak naj-
więcej owoców.

Przyjemski zauważył.

— To ostatnie musi być bardzo łatwym do
spełnienia. Mieszkając w ogrodzie dość

Durym i mające pod bokiem drugi jeszcze większy... Ogród księcia ma owoce wyborne.

Klara uśmiechnęła się w zmroku. Jaki on dziwny! Co to ma jedno do drugiego, że ojciec jej potrzebuje dla zdrowia owoców i że ogród księcia ma ich wiele? Pomiędzy dwoma temi faktami niema związku najmniejszego.

On milcząc patrzył na nią, jakby czegoś od niej oczekiwał. Potem, tonem opowiadania niedbatego zaczął mówić.

— Dzisiaj właśnie oglądaliśmy z księciem brzoskwiniańnię, ananasarnię, inspekty i jest tam tak wiele różnych... Dobrych rzeczy, że książę powiedział mi, abym je posyłał państwu Perkowskiemu i w ogóle znajomym moim, jeżeli mam tu jakich...

Znowu przestał mówić i patrzył na nią.

Ona zauważyła.

- Książkę musi być bardzo grzecznym.

Z razar wskazała na pałac.

- Jak ładnie wygląda teraz pałac z okna-
mi oświetlonymi! Któż pan? Kiedy dziś
wieczorem pierwszy raz spojrzalam w tę
stronę, wzięłam te okna za gwiazdy prze-
blyskujące pomiędzy drzewami.

Stali przy sztachetach, tuż obok altanki.
W powietrzu cichem, naprzód zlekka zaszu-
miały drzewa, a potem, jakby w odpowiedzi
temu akordowi natury, rozeszły się w powie-
trzu dźwięki muzyki. Szły od pałacu z za-
okien oświetlonych i wnet umilkły. Ktoś
tam wzięł kilka akordów na fortepja-
nie i zaraz grać przestał.

- Co to? Ktoś gra w pałacu? szepnęła

http://rcin.org.pl

Młara.

Przyjemski odpowiedział.

— To on. Jest wielkim amatorem muzyki i często grywamy razem...

— Pan gra także?

— Grywam na wjolonczeli, on mi akompanjuje na fortepianie, i odwrotnie. Czy pani lubi muzykę?

W pałacu znów zabrzmiaty akordy i tym razem trwały dłużej, zlewając się ze słabym szumem, który znów przeszedł po drzewach i wnet umilkł, a akordy fortepjanowe jeszcze śpiewały.

Młara zjecha odpowiedziała.

— Nie mogę nigdy słuchać muzyki bez takiego jakiegoś wzruszenia....

— A często pani jej słucha?

— Od śmierci mamy, która grywała ojcu

wieczorami, słyszałam muzykę u znajo-
mych może dwa, albo trzy razy....

Przyjemski zawołał ze zdziwieniem.

- Czy podobna! Przez czttery lata słyszei
muzykę tylko dwa albo trzy razy! Jak pa-
ni może żyć bez muzyki?..

Odpowiedziata z usmiechem.

Cóż to tak ważnego, że niemam tej przy-
jemności?..

To prawda, potwierdził; cóż to ważnego
nie mieć w życiu przyjemności... szcze-
gólniej w takim wieku...

- To prawda, zgodziła się śpiesznie; oddaw-
na już jestem dorosłą....

Spójrzat w górę.

- Czy gwiazdy jeszcze spadają?

Ona także patrząc na niebo odpowiedzia-
ła.

http://rcin.org.pl

— O, spadają jeszcze! Widzi pan, teraz spadła jedna, tam nad tem wielkiem drzewem... a teraz druga... nad samym pataczem... widzi pan!

— Widzę... Niech pani mówi; chcę postuchać pięknej muzyki!

Zaczęła śmiać się, ale on nalegał.

Proszę powiedzieć: gwiazdo złota, daj aby twoja siostra ziemską postuchata dris' pięknej muzyki! proszę powiedzieć....

Nierdolna do oparcia się jego prośbie, ze śmiechem na ustach drżących zaczęła powtarzać.

— Gwiazdo złota, daj aby twoja siostra...

Ale urwata, bo powietrzem popłynęła muzyka już nie z akordów oderwanych stozona, lecz z tonów splezanych i ciągłych. Na twarzy jej podniesionej jeszcze

ku gwiazdom odmalowato się zachwycenie.
Z ustami rozwartemi nieco w uśmiechu
wzruszonym i z oczyma, które pomimo
zmroku miały blask złotawy, stała jak
przykuta do ziemi, zastuchana. Jego ras'
mowa zniżyła się do szeptu.

http://rcin.org.pl

Widzi pani, jak przędko gwiazdy spadają -
ce spełniają życzenia swoich sióstr ziem-
skich. Ale ja źle porównałem panią do
gwiazdy. Porównania tego nadużywano
ogromnie i przypomina ono zjawiska zu-
pełnie inne....

Przychodzi mi na myśl co innego...
Czy pani wie kto to był Hejne?

- Poeta niemiecki, szepnęła.
- Tak; otóż przyprowadź mi do pamięci wierszyk Hejnego, którym chce dziś pożegnać panią...

Spuścił głowę i przez chwilę może przy-
pominał sobie wierszyk Hejnego.

Muzyka w pałacu stawała się coraz
melodyjniejszą i wyraźniejszą; drzewa zci-
cha rozumiały. Z melodyą muzyczną
i cichym szumem drzew, zstąpił się głos
aksamitny, pełen piśszerości, który mó-
wił.

http://rcin.org.pl

— Ty jesteś jak kwiat -
Piękna, czysta, powiewna;
Gdy patrzę na cię, ma pierś
Bolescią ścisną się rzuwa,
I radbym wrnieść dłoń
Do nieba, z modlitwą śpiewną;
Oby zachował cię Bóg
Tak piękną, czystą, powiewną!

Wymawiając wyraz ostatni wzięł jej
rękę i pochylony pocałował ją krótko,

prawie w powietrzu.

Prostując się rzekł jeszcze.

— Niechże pani tu postoi i poczeka. Za mój przyjaciel będziemy zaraz grać dla pani...

Włożył kapelusz na głowę i przodem od-
szedł.

Do cieniściego ogrodu wszedł przez bram-
kę w sztachetach i zniknął wśród drzew.
Dokola Klary panowała przez kilka mi-
nut cisza zupełna, aż znowu powietrze
zaśmiało muzyką, ale już dwu naraz in-
strumentów. Za oświetlonymi oknami
pałacu fortepjan i wjolonczela zgodnie
wykonywały jakiś utwór wielki i długi,
którego tony napętniały cienie ogrodu,
mieszrały się ze słabym szumem drzew,
czarem upajającym ogarniały drzew-

http://rcin.org.pl

czyne, opartą o sztachety i twarz kry-
jącą w stoniach.

III

http://rcin.org.pl

Zasnęła bardzo późno i obudziła się
 bardzo wczesnie. Zwykle w mgnieniu oka
 zrywata się z pościeli i jednym skokiem
 dopadata miski z wodą, w której pluska-
 ta się długo jak ptak w piasku. Dris' u-
 siadła na łóżku i słuchata. Głowę mia-
 ta pełną i cała była pełną tonów melo-
 dyjnych i słów rytmicznych pieszczących
 słuch i serce.

- " Ty jesteś jak kwiat
 Piękny, czysty, powiewny....
 Fortepjan i wjolonczela wtórowaty.
- " Z radbym wzniesić dłoń
 Do nieba z modlitwą śpiewną...

Przezwyćrzyta się, reskoeryta z postania
i w pół godziny była już ubrana. Dopó-
ki myła się, krratata, cryscila swoje
ubranie, dopóty nie; ale gdy tylko sta-
nęła przed oknem, zapinając guziki sta-
nika w głowie i jak się jej zdawało, w
niej całej znowu rąspiewało.

"..... Oby zachował cię Bóg

Tak piękną, crystą, powiewną....

Bore, Bore, co się stało? Co się z nią,
dzieje? Jaka ona szerszliwa! Serce jej
zatopione w stodyczy niewypowiedzia-
nej, o jakiej dotąd nie miała pojęcia...
"Ja i przyjaciel mój będziemy grać dla
pani"... Grali do późna, ona stucha-
ła. Co za noc! Dla niej ktoś grał! Nig-
dy jeszcze tego nie było. On grał dla niej...
dla niej!.. Jaki dobry!

Mocno zacisnęła ręce i powiedziała
sobie stanowczo. — Dostyc!

Zarrucita na plecy okrycie, na głowę
matą chustkę wetniana, pochwyciła ze
stółki kuchennego koszyk, nie ten od robo-
ty, ale inny większy, z rączką i nakrywką.
Trzeba jej było pobiedz dżis do miasta po
trochę prowizyi kuchennych. Ojciec i brat
mogą jeszcze spać dobrą godzinę. Franiz
obudzi, aby zgotowała mleka i pilnowa-
ła domu. Przed obudzeniem siostry po-
biegnie jeszcze do ogrodu i przyniesie
dzbanek, który wczoraj zostawiła przez
zapomnienie około małego klombu z
kwiatami. Franica może go potrzebo-
wać i nieznaleść. Wybiegła na ganek i
stanęła jak wryta. Co to jest? Zgad to?
Coż za przesliczne owoce! Jak żyje nie

http://rcin.org.pl

widziata takich!

Na wazkiej lawce ganku stat kosz
napelniony owocami przepysznyemi i
ulozonemi z wielką umiejtnoscią ogrod-
niczą. Posrodku, z piramidki listei twar-
dych wychylal się ananas, zupełnie sto-
ty pod promieniem słońca zaledwie
wschodzącego, otaczaly go brzoskwinie ró-
zowe, żółte morele, zielone renklody, z pod
których wyzierały jabłka rumiane i
gruszki duże, siedzące na fugach melo-
na powłoczonego siecią, zyłek delikat-
nych.

Wszystko to było malowniczo zmieszra-
ne z listemi, które opadając okrywały ca-
ły koszyk, bijący zapachami ananasa
i melona, zmieszranemi ze świeżością
rosy świeżącej na liściach.

Klara stała z rękoma opuszczonemi i silnie zacisniętymi. Tylko w pierwszej chwili zdumienia, mogła zawołać w myśli: „Kądo?” Po upływie minuty odpowiedziała już sobie: od niego! Ktoś przyszedł tu przed jej obudzeniem się jeszcze i ten koszyk postawił — z jego rozkazu. Przecież mówił, że książę pozwolił mu dawać owoce ze swego ogrodu komu tylko zechce. Promienie płomien-ny uderzył jej do twarzy. Niech sobie daje... ale nie nam! Nie mnie, powtórzyła, o, nie! Za za nie! Podarunek od człowieka zupełnie obcego, — za nie! Z silną wielką uczuła w tej chwili, że był on dla niej obcym; zarazem strzałka bolesna przeszła jej serce. Coż stać, że to boli? Może sobie boleć, niemniej-

prawdą jest, że on obey. Nawet nie zna jej ojca! Jakżeby ojciec jej mógł zjadać owoce, darowane przez człowieka nieznanego? Trzeba mu to oddać. Ale jak? Odstać niema przez kogo. Może przez Stasia? ach nie! Trwooga przejęta ja na myśl, że Franica albo Stas' obudzić się mogą i wybiedz na ganek. Co onaby im powiedziały?

Później namyślił się, jak uczyni, a teraz conajprędzej kosz ten schowa, aby nikt w domu zobaczyć go nie mógł. Prędko też zamknęła go w szafie kuchennej od której kluczy schowała do kieszeni. Szczęście, że wszyscy śpią jeszcze. Teraz obudzi Franicę i pobiegnie do miasta.

Przez następne kilka godzin czuła

się z kolei to spokojną i obojętną zupeł-
 nie, to rozrzaloną tak bardzo, że ledwie
 mogła powstrzymać się od płaczu. Po-
 stanowita zanieść kosz z owocami do
 altanki i poprosić Przyjemskiego aby
 go sobie zabrat, jeżeli przyjdzie... Cra-
 sem była zupełnie pewną, że przyjdzie;
 czasem wątpita. Jeżeliby nie przyszedł
 postawi koszyk z drugiej strony sztachet.
 Spostrzeże go pewnie, wkrótce on sam,
 albo kto inny i rzecz będzie skończoną. Za-
 pewno też p. Przyjemski obrazi się, nie
 będzie się starał ją zobaczyć i wszystko
 skończy się narazem. Były chwile, w
 których ta myśl nie budziła w niej
 żalu najmniejszego. Oczywiście, jeżeli ma
 myśleć, że lubi jego towarzystwo dla
 prezentów, to niech lepiej nigdy nie

zbliza się do niej. Będzie wszystko tak jak byto przed trzema dniami, kiedy go jeszcze nie znata.

Nie rozkodzi to oju, ani Frani, ani Stasiowi, ani nikomu w świecie; czegoż więc martwić się? i co ja to może obchodzić? Ale w półgodziny potem opanowwał ją taki żal ogromny, że nie wiedziata sama co robi i porzucając wszystko, opierała się łokciami o starą komódkę a rękoma przycisnęła powieki aby nie płakać.

Na godzinę przed obiadem siedziata w altance browej szyć przędko, pilnie, z głową nisko pochyloną. Obok niej na ławce stał kosz z przepysznyemi owocami. Liście zwiędłe zaszeleściły w alei pod stopami, które je kruszyły.

Klara niżej jeszcze pochyliła głowę i zaczęła szyć jeszcze prężej. Czuta wielkie gorąco w twarzy i powieki jej nabrzmiwały. Nie widziała wcale roboty z za mgły kłującej, która przystoniła jej oczy. Głos dobrze znany wymówił za sztachetami.

Dzień dobry, pani.

Podniosła głowę, ale wzrok jej nie spotkał się ze wzrokiem Przyjemskiego, który już tkwił w owocach piętrzących się obok sukni jej w różowe i szare paski. Z kapeluszem nieco podniesionym nad głowę, Przyjemski znieruchomiał. Zrazu, zmarszczka jego pogłębiła się bardzo, a usta przybrały wyraz gniewny. Ale trwato to parę sekund, potem piękna ta twarz rozpromieniła się zupełnie i nawet stała się tak rozpromienioną, jaką Klara je-

sze jej nie widziata. Ona teraz, z gorą-
co zarumienionej stata się bladą; palce
jej trzymające nitkę jeszcze mokrą od łzy
która na nią spadła, trochę drżały. Przy-
jemski wyciągając rękę nad sztacheta-
mi przemówił z uśmiechem.

— Naprzód, niech mi pani na powita-
nie rączkę poda...

Uczyniła to. Szorstka, trochę czerwona
i trochę drżąca jej ręka znajdowała się
przez chwilę w uścisku toni białej i mięk-
kiej.

— Następnie, niech mi pani powie, co to
znaczy, że ten koszyk przywędrował tu za
panią?

Podniosła głowę i ze spojrzeniem odważ-
nem odpowiedziata.

— Przyniosłam go myśląc, że może pana

tu zobaczę. Niech pan będzie łaskaw po-
stawi ten kosz z drugiej strony sztachet, a
potem przysła kogo, aby go zabrał.

Z obu rękoma podawata mu przedmiot
o którym była mowa, nie bez trudności, bo
był ciężkim.

Przyjemski milejąc, powoli, z zimną
kwią, doskonałą, zrobił jak powiedziata:
wziął od niej kosz i postawił go na trawie,
z drugiej strony sztachet, poczem, oparł się
o sztachety i patrząc na nią oczyma napet-
nionemi blaskiem szczególnym, zaczął
mówić.

— Dobrze. A teraz, kiedy egzekucya już
spełnioną została, chciałbym poznać mo-
tywy Dekretu...

Widziata, że nie jest obrabony, że owszem,
pod zartobliwością z jaką mówił, drwiczca-

ta w jego głosie nuta więcej przyjemna niż kiedykolwiek.

To też, dość swobodnie odpowiedziała.

— Doprawdy, nie potrafię panu tego wytłómaczyć.

Ale to niepodobna... myślimy nigdy, ani mój ojciec, ani ja.... Przecież można nie być bogatymi, a jednak...

Wystarczy sobie, dokończyła.

Stała dość długo zamysłony, ale nie chmurny; owszem, zmarszczka jego była daleko mniej głęboką niż zwykle, prawie zniknęła. Pochwili zaczął znówu.

— A dla czegoż pani przyjmuje różne rzeczy od pani... pani wdowy po weterynarzu?

— Ależ to zupełnie co innego! z przejęciem się zawołata Klara. Pani Dutkiewiczowa kocha nas i my ją kochamy! A od

tych których kochamy i którzy nas ko-
chają wszystko przyjąć można....

To sekundnie zastanowienia dokończy-
ła z rozważą.

— Nawet trzeba, bo nieprzyjęcie znaczy to-
by, że uważamy ich za obcych....

Przyjemski, wpatrywał się w nią jak w
teżę.

Potem, zapytał zwolna.

A od obcych nie przyjmuje się nic wcale.

— Nie, patrząc na niego odpowiedziała
śmiało.

— Za ras' dla pani jestem obcym, co?

Złotawe źrenice jej zamigotały, w linii
ust drgnął śal wnet powściągnęły.

— Tak; szepnęła.

Stał jeszcze chwilę oparty o sztachety
patrząc nie na nią już, ale kędyś daleko.

Potem wyprostował się, odstąpił o krok od
 sztachet i podnosząc trochę kapelusz wy-
 mówił.

— Będę miał przyjemność zobaczyć dris wi-
 zytę ojcu pani!

Idąc powoli ależ cieniutką, myślał.

— *Voilà, où la fierté va se nicher!* „Od tych
 których kochamy i którzy nas kochają
 wszystko trzeba przyjąć, bo nie przyjmując,
 okaralibyśmy, że uwarąmy ich za obcych!”
 Bardzo delikatnie uczucie, bardzo delikat-
 nie! a co za święta wiara w kochanie?
 Kochamy, kochają! *Voilà, où la foi se
 niche! Foi de Bucheron!* Ale jakie to
 szczęście mówić: kochamy, kochają... i
 nie śmiać się! Gdybym mógł jeszcze... choć
 raz w życiu powiedzieć: kocham, kocha
 i nie zaśmiać się, ucieszyłbym, idylko

moja, stopki twe... w dziurawych trzewiczkach!

Wielkiem to byto szczęściem dla Felary, że jeszcze w obecności Przyjemskiego nie klasnęła w ręce i nie podskoczyła z radości. Ucrynita to wbiegłszy do domu, zarumieniona, rozpromieniona, wdyszana. Wzrost nie obrócił się, ale przeciwnie obiecał być u jej ojca dziś jeszcze... dziś jeszcze! O, dobry, dobry! Zrozumiała pobudkę obietnicy niespodziewanej. Gdy razem z jej rodziną, razem bywać w ich domu, przestanie być obcym dla niej, będzie mogła uważać go za bliskiego znajomego, może za przyjaciela. Miała serce pełne wdzięczności. Zarazem, przypominała sobie każde słowo, które dziś wymówił, każde poruszenie, które ucrynił.

Ogromnie śmieszny jest sposób mileracy i poważny w jaki spełnit jej życzenie, biorąc od niej kosz z owocami i umieszczając go na trawie, po drugiej stronie sztachet.

Było to bardzo zabawne; tak poruszał się i wyglądał jak gdyby spełniał czynność nadzwyczaj uroczyście, a jednocześnie, uśmiešek prawie niewidzialny błagał się mu po wargach cienkich i trochę filutemnych. Śliczne ma usta, a także oczy i czoło. Sama nie wie co w nim najpiękniejsze. Chyba profil zarysowany delikatnie, z wypukłymi brwiami, rozdzielonemi zmarszczką, w której jest tyle smutku i tyle rozumu... Nie, ani profil, ani usta, ani oczy, nie są w nim najpiękniejsze, tylko dusza, dusza piękna, wzniosła i taka jakaś smutna!

Najpiękniejszą ze wszystkich jest w
nim dusza, pewno, niewątpliwie! Z ser-
ce złote, które nie rozgniewało się na
nią zato, że podarunku przyjąć nie chcia-
ła, ale owszem zapragnęło więcej jeszcze
zbliznąć się do niej... Myśląc o tem wszyst-
kiem śpiesznie orzywała brzeg stanika
białą jak śnieg szlarską, a potem,
dobywała z komody pasek skórzany, oz-
dobiony klamerką stalową.

W małej bawialni, która zarazem by-
ła jadalnią, spożywanie obiadu miało
się ku końcowi.

Pokój nieduży, którego część znaczną
zajmował piec z zielonych kafli, miał
sufit niski, podtrzymywany przez kilka
grubych belek, podłoga pomalowana
farbą czerwoną i miejscami już spęskła,

ściany oklejone papierem błękitnawym
w czerwone centki. Pomędzy dwoma ok-
nami otwartemi na zieloną ścianę fas-
li, Teofil Węgrycz siedział na wąskiej
kanapie z poręczami jesionowemi, przy
stole zastanym ceratą, zastępującą ob-
rus. Na ceracie stało kilka talerzy z
resztkami jada, karafka z wodą, sol-
niczka, stoik szklanny z chrzanem. U
ściany przeciwległej, na starej komód-
ce, obok niedużej lampy, wychylał się
ze szklanki spory pęk rzedy. Dwoje
młodszych dzieci siedziało po obu stro-
nach ojca; Klara przyniosła z kuch-
ni talerz z kilku gruszkami i stojąc
zakręta jedną z nich obierać.

— Doskonale gruszki kupiłam Dris' ta-
teczce.....

Frania i Stas' dostaną też po jednej.

— A Drogie? zapytał Włogrycz.

Twarz kancelisty dobrze już podstarzałego była długa i kosiasta, miała czerń żółtą i wyraz na wpół kwaśny, na wpół apatyczny, właściwy ludziorom chorym chrońnie i spełniającym zajęcia nieubiońne. Oczy tylko, takie jak u Klary piwne i z długą rzęsą, patrzyły niekiedy z pod exota bardzo pomarszczonego rozsądnie i łagodnie.

Obok niego siedząca dziewczynka piętnastoletnia, blondynka sucha i niedokrwiasta, z rysami jak u oja wydużonemi i wargami wązkiemi, zagadła z żywością wielką.

— Czegoś się ty, Klarciu, tak dris' wystróża?

Klara miała na sobie swoją codzienną suknię perkalową w paski, tylko swierą szlarczkę u szyi i pasek z klamerką stalową. Nie była nawet uczesana jak należy, bo włosy niepostuszne za nic w świecie nie chciały leżeć gładko, ani trzymać się w wierzach szpilek podwójnych. Pełno też było na czołe i na karku, pasemek ich kruczonych i kędzierrawych z pośród których wyglądała różowa lewkonja. Usłysawszy uwagę siostry nachyliła się dla podjęcia z ziemi kawałka tupiny od gruszki, a wyprostowując się odpowiedziała spokojnie.

— Heale się nie wystrojam, tylko oszytam stanik swierą szlarką, bo tamta była już brudną.

— Z pasek nowy wtorzyłaś! z przekorą

zauwaryta znówu Frania.

Klara nie odpowiadając siostrze, która miała w sobie ducha przekory i kłótni, potoczyła przed ojcem gruszkę obraną i nożyk z trzonkiem drewnianym.

— Będziemy dziś mieli gości, tateczku, rzekła.

Gościa! zdziwił się stary, któż to taki? Może pani Dutkiewiczowa... ale to nie gość.

Klara zaczęła obierać drugą gruszkę, spokojnie mówiła dalej.

— Parę razy spotkałam w ogrodzie p. Przyjemskiego, sekretarza księcia Oska-ra i rozmawialiśmy z sobą dość długo. Dziś powiedział mi, że będzie z wirytą u tatki.

Wygrycz wykrzywił usta.

— Potrzebna mi ta wyryta!.. spać po obiedzie nie da... zmęczony jestem i trudno mi rozmawiać...

Mówił tonem gwałtownym; czuł istotnie zmęczenie ciągłe i odrywało się od ludzi obcych.

Frania ras z żywością, wdrapającą ostrość języcka, zagadana cienkim głosikiem.

To ty, Filarko, w ogrodzie znajomości robisz z kawalerami! Jakimże to sposobem....

— Cicho bądź i nie dokuczaj siostrze! opuścił Włogrych młodszą córkę, która też umilkła natychmiast.

Zato maty chłopak w bluzie i pasku skórzanym prędko trzepać zaczął.

— A ja wiem kto to taki ten p. Przyjem-

ski, bo syn ogrodnika księcia jest w jednej klasie zemną, i opowiadał, że księżę przyjechał i przywiózł z sobą takiego sekretarza, którego bardzo lubi... gra z nim na fortepianie i na creams tam jeszcze... ten sekretarz nazywa się Przyjemski, bardzo jest wesoty i ile razy zachodzi do ogrodnika, bawit się zawsze z dziećmi..

Cicho, Stas'! syknęła Franica, już kawaler Klarki idzie!

Ża fasolą stępać było powolne, równe kroki; w minutę potem, otworzyły się drzwi od sionki tak nisko, że wchodzący przez nie człowiek wysoki, musiał pochylić głowę. Wśród i jednym rzutem oka objął wszystko: pokój z niskim sufitem, zielonym piecem i centkami czerwonymi na błękitnawych ścianach,

trochę niedojedzonej kaszy na talerzach,
 cztery osoby przy stole zastanym ceratą,
 pełk rezery na komódce, Filara z różo-
 wym obłokiem na twarzy, ale dość reso-
 lutnie rzekła do ojca.

— Tatku, pan Juliusz Przyjemski, mój
 znajomy;

A do gościa.

Ojciec mój....

Wygrzech wstał i wyciągając do przy-
 bytego stugę, kociącą rękę, wymówił.

— Bardzo mi przyjemnie.... Niech
 pan będzie łaskaw usiąść.... bardzo
 proszę....

Filara zaś, już bez rumieńca, spo-
 kojnie, z uśmiechem trochę rozchyłają-
 cym usta, wzięta ze stołu naczyńca i ze
 stołem talerzy w ręku wyszła do kuchen-

ki wrokiem ukarując siostrze, aby zabra-
ła karafkę z wodą i ceratę. A pod zdjętej
ceraty ukazał się stół jesionowy, okry-
ty siatką z białej bawełny. Staś posta-
wił na nim szklankę z rezedą, zdjętą
z komody.

Kiedy Klara, po upływie kilku mi-
nut wróciła z kuchenki uradowała ją
ożywienie z którym ojciec jej rozmawiał
z gościem. Musiał to być czarodziej
prawdziwy skoro potrafił w czasie tak
krótkim, zetrzeć z twarzy człowieka
zmęczonego i chorego wyraz apatyi i
skwaszenia. Zapytywał go bytomas-
to, w którym stary kancelista spe-
dził całe życie i tym sposobem dot-
knął w razu przedmiotu, najprawdo-
podobniej dobrze znanego mu i nie-

obojętnego. Wygrzech mówił obszernie o ludności miasta, różnych jej warstwach, stopniu zamożności każdej z nich. Mowa jego zrazu powolna i trudna, jak bywa z ludźmi odzwyczajonymi od prowadzenia rozmów, stała się po kilku minutach dość ożywioną; przytem w ciemnych oczach był wyraz rozsadku, a kosciste ręce czyniły niekiedy gesty energiczne. Z takim gestem, wytłómaczywszy gościowi stosunki wewnętrzne miasta, rzekł.

— Bieda w górze, bieda pośrodku, bieda na dole. Wiele brakuje do dobrego wszędzie i każdemu. Ale niech mi pan dobrodziej wybaczę jeżeli powiem, że wina w tem po trochu takich ludzi możnych i pewno rozumnych jak

księżce Oskar....

Urwał, zawahał się.

- Niech pan Dobrodziej będzie Taskaw przebaczy, bo może i nie powinienem tego mówić przed sekretarzem i podobno przyjacielem księcia....

http://rcin.org.pl

Ale owszem, z niejaką żywością przewał Przyjemski; owszem! jestem przyjacielem księcia i dla tego wtaśnie nadzwyczaj interesuje mię opinja, której księżce tu wrywa. Będę nawet prosił pana bardzo o wytłómaczenie, w czym pan widzi tę winę?

Wygrzeź uczytnit na wąskiej karkapce poruszenie żywe.

- W czym winna? zawołał, ależ panie Dobrodzieju, to rozumie się samo przez się! Przeważna część dóbr książęcych

znajduje się w tych stronach; w sa-
mem mieście posiada on pałac, zbu-
dowany przez jego dziada czy pradzia-
da.... Jest tak możnym, posiada
takie imię, że gdyby żył pomiędzy na-
mi, gdyby nas znał, gdyby wzbudził w
stan rzeczy i - ludzi, każde jego słowo
mogłoby być poparciem, oświeceniem,
każdy czyn błogosławieństwem.... Prze-
praszam pana Dobrodzieja, ale sam
rozkarateś mi mówić.... Książki buja
po świecie....

Przyjemski wtrącił zeicha.

— Od pięciu lat tylko nie był tu weale.
Przedtem, mieszkał dość długo w dob-
rach swoich tutejszych, a po części w
tym pałacu....

Hygrycz, rozkładając ręce zawołał.

— Z jakby go nie było.... Wtedy także
było tak jakby go nie było!...

Oczy mu świeciły, na wszystkich us-
tach, wyraz ironji zastąpił poprzed-
nie skwaszenie. Czuł w nim było te-
raz coś gorzkiego i ciężko przecierpia-
nego; może niechęć pomiędzy klaso-
wą milerzącą rawsze i która wybuchła,
może uwarę do ludzi możnych, ma-
jąca naturę głębszą. Przyjemski sie-
dział na krzeselku jesionowem, z gło-
wą trochę pochyloną i z kapeluszem
w spuszczonej ręku. Postać jego w
czarnym pół fraku wykwintra i zgrab-
na, profil z wypukłemi brwiami i
cienkimi wargami pod złotawym
wzrosem, odbijały w sposób zadziwiają-
cy od tła pokoju błękitnawego z wiel-

kim piecem zielonym. Ze spuszczone-
ni oczyma i bardzo powoli mówić za-
czął.

— Porwoli pan, że stanę trochę w ob-
ronie Księcia... tylko trochę, bo sam
należę do tych, którzy najmniej, naj-
mniej wierzą w doskonałość cztowilka...
jakiegokolwiek. Chciałbym tylko po-
wiedzieć, że książę nie jest wyjątkiem.
Jeżeli posiada jakie wady, nie spełnia
jakich obowiązków i różne tam inne
tam rzeczy... nie jest wyjątkiem. Każ-
dy cztowiek jest istotą marną, samolub-
ną, zmienną w tem znaczeniu, że prze-
latuje po różnych odmianach ztego,
jak motyl po kwiatach...

Wygryzł niespokojnie kęsik się na
kanapie, aż wybuchnął.

- Ależ przepraszam pana Dobrodzieja,
nie każdy! nie każdy! Są na świecie
ludzie ucieśniwi i którzy nie latają po
grzechach, jak motyl po kwiatach. Ja
panu Dobrodziejowi bardzo dziękuję, za
takie motyle! Przez takie motyle źle
jest na świecie! a komu wiele zosta-
to danem, od tego także wiele będzie
wymaganem. Księżę wiele otrzymał
od Boga, wiele też wymagać od niego
muszą Bóg i ludzie.... Ja pana do-
brodzieja bardzo przepraszam, że mó-
wię to o pryncypale i przyjacielu....
Ale człowiek który zawsze milezy po-
tem nie może wytrzymać, aby nie
wygadać tego, co się w nim narziera-
to. Ublizać księżciu nie chcę... może
on jest i najlepszym człowiekiem, ale

zapytam pana dobrodzieja, co on na świecie robi?

Prostozyt ręce kosiaste i aż trochę drżące od zapatu i z oczyma bardzo świecącemi mówi dalej:

Co książę robi ze swego majątku, ze swego rozumu, ze swojej mądrości wielkiej? Dla kogo? Dla czego? Co? co robi?

Z rozłożonemi rękoma, pytając, nagle patrzył na Przyjemskiego. Ten, podniósł powieki i swolna odpowiedział.

— Nic a nic

Wygryza to przyznaniemu stusności ochłodziło nieco. Podniósł w górę długi, złoty palec.

— Widzi pan dobrodziej!.. a jednakowoż książę jest chrześcijaninem, to pierwsze;

urodził się i posiada dobra w tych stro-
nach, to drugie;....

W tej chwili Klara, która siedząc u
okna przez cały czas rozmowy garniro-
wata koronką jakiś biały crepiec, pod-
niosła głowę i niesmiato przerwała ojeu.

Mój tateczku, mnie się zdaje, że nie
powinnismy sądzić surowo ludzi, tak in-
nych od nas, zupełnie innych....

Jakto innych? Co za innych? Dla cre-
go innych? Zwanjowatas, czy co? Wszyst-
kich jeden Bóg stwarza i jedna ziemia
nosi... wszyscy grzeszą, cierpią, i muszą
umierać, a to jest wielka jednostajność,
ogromna jednostajność...

— Pan ma rację... potwierdził Przyjem-
ski... pan powiedział przez głęboką... Bła-
dzić, cierpieć i umierać wszyscy muszą

http://rcin.org.pl

i to jest wielka jednostajność... ale byłbym wdzięczny, byłbym bardzo wdzięczny pani Klary za dalszy ciąg obrotu przyjaciela mego....

Patrz! na nią oczyma tak rozpromienionemi, że ona, uśmiechając się swobodnie mówi dokończyła.

Mnie się zdaje, że ludzie tak morni i tak urodzeni jak książę, żyją zupełnie inaczej, niż my wszyscy, muszą... muszą nabywać innych wyobrażeń, potrzeb, przyzwyczajzeń, tak że później to o czym my wiemy dobrze, dla nich jest niewiadomem, co dla nas jest obowiązkiem, im wydaje się niepotrzebnem, albo bardzo trudnem. Może książę jest bardzo dobrym, tylko nie umie żyć tak jak my wyobrażamy sobie, że żyć powinien...

Może go ludzie zwarli, albo zepsuli przez
pochlebstwo czy przez udawanie przed
nim różnych rzeczy dla interesu...

Twarz Przyjemskiego przybierała wy-
raz coraz więcej zachwycony. W dźwię-
czną mowę jego, wpatrywał się jak w te-
atr. Wgryzł przeciwnie słuchał córki
kwasno i niecierpliwie. Gdy przestata
mówić machnął ręką.

Babski rozum, panie dobrodzieju!
Babę wszystko wytłómaczyć sobie u-
mieją: a to to, a to owo! A to tak, a to
owak! Z krupami przywykły mieć do-
czynienia i każdą rzecz rozdrabiają na
krupy. U mnie zaś jedne prawo i je-
den sąd: Król, albo cygan. Albo esto-
wiek słucha prawa boskiego, służy
bliźnim swoim i każdej sprawie do-

brej, albo nie czyni tego. Pierwszy mo-
że sobie być nawet grzesznym cztowie-
kiem, ale zawsze będzie czegoś wart;
drugi, trzech groszy nie wart; i - po wszy-
stkiem!

Przyjemski z wolna odpowiedział.

Tąd pana jest srogim i bezwzględny, ale panna Klara stanęła pomiędzy nami jak anioł wyrozumienia i sto-
dyery, bo jest aniołem.

Z natychmiast, nie dając nikomu czasu do odpowiedzi, zagadnął Hygry-
era.

Czy pan zawsze pełnił rajęcia te co te-
raz, czy też, - jak mi się zdaje, - trwał
się kiedyś czymś innym?

Hygryer skrzywił się kwasno.

Zawsze, panie dobrodzieju, zawsze,

od osmnastu lat życia swego pracuję
w biurze. Jestem dzieckiem mieszczan-
skim, ojciec mój miał tu swój domek
i był rzemieślnikiem. Mnie do szkół
oddawał, pięć klas gimnazyalnych
skonczyłem i do biura wstąpiłem. Ale
dla czego pan Dobrodziej zapytał mnie
o to?

Przyjemski namyślał się chwilę, a
potem z lekkim ukłonem rzekł.

— Otwarcie wyznam panu, że znalaz-
łem nastrój myśli... mowy... wyższy...

— Niez się pan Dobrodziej spodziewał!
podechwycił Hymn i zaśmiał się, ale
ironicznie.

— Widzi pan Dobrodziej, przebywając
w domu pryncypala i przyjaciela
swego niewiele miał do czynienia z

ludźmi ubogimi. Ubóstwo, panie Dobrodzieju, nie koniecznie znaczy to samo, co idiotyzm... ehe, ehe, ehe!

Śmiał się ostro, ale znać było, że zdanie gościa pochlebilo mu i uczyniło go weselszym.

Jednak, ciągnął dalej, co się mnie tyczy, miałem w życiu swoim pewne warunki sprzyjające... Ożeniłem się, uwarła pan Dobrodziej, z kobietą wykształconą, to raz, a najlepszą w świecie, to dwa. Nauczycielką była, pochwaliliśmy się i pobrali, chociaż pod względem materialnym mogła być lepszą partycją zrobić. Ale nie żałowała tego nigdy. Byliśmy z sobą szczęśliwi. Co do wykształcenia stałem od niej niżej i tylko tylko miałem rozsądku, aby to uzna-

http://rcin.org.pl

wac i z tego korzystac. Przy pracy biuro-
 wej zawsze jest kilka godzin wolnych,
 wiec w tych godzinach czytivalismy ra-
 zem, albo grywata mi na fortepianie,
 wieczorami bo ladnie grata... Ej, panie
 Dobrodzieju, mam ja w zyciu dobre wspom-
 nienia, swiste wspomnienia. Z na tam-
 tym swiecie mam swoja swista, z ktora
 pragnalbym polaczyc sie jak najprzej-
 szyby nie dzieci. Ale ona mi zostawila
 te dzieci i znowu calowiek do tej ziemi
 przywiazany. Wiele ja panie zawdziczam
 tej kobiecie, z ktora przerytem 23 lata, jak
 dwadziescia trzy dni... ona takze umie-
 rajze przytomnie, dziskowata mi przed
 skonaniem... Rozstalismy sie w zgodzie
 i milosci, tak samo spotkamy sie gdzie-
 tam.... przed Bogiem...

Koncem kociętego palca otarł wilgotną powiekę, umilkł. Przyjemski ze spuszczoną trochę głowę także milczał przez chwilę. Potem, z zamysleniem wymówił. —
 Widać są na ziemi poematy takich związków i takich wspomnień...

Wygryzek skrzywił się ironicznie.

Jeżeli pan dobrodziej nie doświadczył i nawet nie widział takich związków i takich wspomnień, to.... przepraszam za otwartość...., ale pan dobrodziej jest bardzo biednym....

Przyjemski nagłym ruchem podniósł głowę i popatrzył na kancelistę z wyrazem zdumienia, które jednak wnet zniknęło.

— Tak, tak... wymówił; bieda i bogactwo posiadają znaczenia różne... bardzo różne...

Zwrócił się do Hilary pochylonej nad pię-
trzącym się na kolanach muslinem.

- Książki pożyczonej od pani jeszcze nie od-
daje i co więcej, proszę o pożyczenie drugiej w
tym rodzaju, jeżeli pani posiada drugą.

- Pan chce poezji? zapytała podnosząc głó-
wę.

Tak, czegoś z poezji, którą znam, ale źle, z
daleka...

Hilary wtrącił.

- Żona moja zostawiła córkom bibliotekę
małą, w której znajdują się poezje.

Z grzecznością dodał.

- Hilary, pokaż panu naszą biblioteczkę,
może coś wybierze...

Hilary rzekła wstając.

- Jest w moim pokoju.

Bóże! czyliż można było nazywać poko-

http://rcin.org.pl

jem tę klaticzkę znowu z zielonym piecem,
z jednym oknem, z dwoma grubemi belka-
mi nad głową, z łóżkiem, stolikiem, dwoma
krzesłami i matą szafką na czerwono po-
malowaną, do połowy oszkloną. Jaki pokój
taki księgozbiór. Kilka półek, z dwoma
setkami tomów w oprawkach szarych, sta-
rych. Przyjemski stał tuż za Klarą, któ-
ra palcem dotykając tomów wymieniała
ich tytuły i imiona autorów.

<http://rcin.org.pl>

— W Szwajcaryi... Może to...

— Niech będzie w Szwajcaryi... Tyle razy
byłem w tym kraju... Poemat znam; zna-
je mi się, że znam... ale może nie, może i
nie!

Biorąc książkę bardzo zniszczoną, ogrom-
nie znać czytana, zatrzymał chwilę rękę
jej w swojej i szepnął.

- Dziękuję za obronę przyjaciela mego...

Dziękuję, że pani istnieje na ziemi...

Wrócili zaraz do malutkiej bawialni. Przyjemski stanął przed gospodarzem domu, który wstał z kanapki, rękę z kapeluszem opart o stół i zdawało się że chce coś powiedzieć, ale waha się i namyśla. Po chwili mówić zaczął.

http://rcin.org.pl

Chcę pana o coś zapytać, o coś prosić i z góry przepraszam, jeżeli w mojem zapytaniu, czy prośbie, będzie mata niedyskrecya...

- Owszem, owszem, sklonił się Włogrycz, niech pan dobrodziej nie robi sobie żadnej subiektywności. Jesteśmy sąsiadami i jeżeli mogą być czemkolwiek użytecznym....

Przyjemski przerwał.

- Przeciwnie, ja to chciałem zapytać pana czy nie pozwoliliby mi pan, być mu użytecz-

nym.

Moeniej opierając ostół rękę mówi gło-
sem bardzo miękkim, wprost aksamitnym.

— Rzecz się przedstawia tak: pan ma
zdrowie słabe, dwoje Dzieci, które jeszcze
potrzebują wiele, warunki życia trochę...
trochę ciasne. Z drugiej strony ja posiadam
pewne wpływy, znaczne wpływy na księ-
cia Oskara, który jest człowiekiem bardzo
możnym... bardzo możnym.... Jestem pew-
ny, że gdy mu rzecz przedstawię, książkę po-
czyta sobie za przyjem... za szczęście, odda-
nie panu wszystkich usług możliwych....
Może temu małemu kawalerowi ułatwić
edukację, a potem karierę... może też w
dobrach swoich znaleźć z tatwoscją poja-
dę, któraby przy rajjciu mniej uciążliwym,
przedstawiła warunki mniej ciasne....

Zieli pan pozwoli mi pomówić o tem z księciem....

Zawiesił głos, czekał. Wygryz słuchał szczerze ciekawie, potem z głową spuszczoną. Gdy Przyjemski mówić przestał, podniósł na niego oczy, odchrząknął i odpowiedział.

Bardzo dziękuję panu dobrodziejowi za dobre chęci, ale z Taszki książęcej korzystać nie chciałbym.... nie, nie chciałbym....

Dla czego? zapytał Przyjemski.

Wygryz odpowiedział.

Bo do korzystania z Taszki, panie dobrodzieju, trzeba przywyknąć... Nie przywykłem. W warunkach ciasnych, czy nie ciasnych, byłem przez całe życie, panie dobrodzieju, sam sobie i robotnikiem i panem.

Przyjemski podniósł głowę, z szafirowych źrenic jego strzelita błyskawica gniewu.

Więcej niż kiedy w sposób powolny i rozdrze-
lający sylaby wyrazów, mówić zaczął.

— Widzi pan... a widzi pan... Czyż pan
księciu zarzut z tego, że jest on niewyżtecz-
nym dla ludzi, a kiedy zdarza się mu spo-
sobność stania się wyższym, okazuje się,
że przystugi jego byłyby nieprzyjemne....

— A tak, panie dobrodzieju, a tak odrzucił
Wygrych z błyszczeniem także oczyma; bo gdy-
bym wiedział, że książę odda mi przystugę
jak brat bratu, jak estowiek więcej obda-
rzoną przez Boga mniej obdarzonemu, ale
równemu, tobym ja przyjął owszem, przy-
jąłbym i byłbym wdzięczny... Ale książę
rzuciłby mi dobrodziejstwo jak kość psu,
a ja, choć niebogaty, kości z ziemi nie pod-
niosę...

Przyjemskiemu blady rumieniec wystę-

pit napoleicki.

— To uprzedzenie, rekt, fanatyzm... książkę nie jest takim za jakiego pan go ma....

²Hygrycz znowu ręce rozłożył.

— Niewiem, panie dobrodzieju, niewiem! ¹ ² Nikt tu o tem wiedzieć nie może... bo nikt tu książka nie zna...

Wtem jądro naszego procesu, zakonkludował Przyjemski i wyciągnął do kancelisty swoją białą długą rękę.

— Proszę pana o pozwolenie zajrzenia tu jeszcze kiedy...

— Owszem, owszem, zgodził się grzecznie Hygrycz; a czy książkę i pan dobrodzieju długo tu jeszcze zabawicie...

— Dość krótko. Odjedziemy stąd do dóbr tu-
tejszych książka... ale może być bardzo że
powrócimy i osiedlimy się tu na całą zimę...

Przy ostatnich wywarach patrzył na Klara, która oczyma rozpromienionemi patrzyła nie na niego, ale na ojca. Gdy tylko drzwi zamknęły się za gościem, rzuciła się ojcowi na szyję.

— Tatuszku mój kochany, mój drogi, mój złoty, jak tatko dobrze zrobił!

Całowała go w rękę i w policzki. Wygrzesz wykręcał głowę i krzywił się.

— No dość już tego... Daj mi szlafrok i pantofle. Spaci pójdę... zmęczona mię ta wiryta...

Klara skoczyła po przedmioty żądane i we drzwiach usłyszała ostry głosik siostry mówiący.

— Wiesz tatko! ten pan Przyjemski kocha się w Klarce. Uważał tatko jak to on powiedział: „bo panna Klara jest aniołem.”

z tak na nią patrzat...

— A tobie nie pora jeszcze decydować o takich rzeczach... zgromił ją ojciec.

Francia odgryzła się zaraz.

— Już nie jestem dzieckiem i jeżeli Klara może mieć kawalerów, to ja mogę przynajmniej widzieć że ich ma.

Klara podawała ojcu szlafrok z koma drzącemi. Wygrzesz obrócił się do młodszej córki.

— Przekoś języzek i przestań dokuczać siostrze, a prosz lepiej Boga abyś była do niej podobną. Ten pan kiedy mówił, że ona jest aniołem, prawdę mówi...

W szlafroku i klapieżę pantoflami wyszedł do swego pokoju.

Francia zarzuciwszy na głowę chustkę, wybiegła do magazynu. Klara zawoła-

ta brata.

— Przynies' kajet, powtórzmy arytmetykę...

Chłopak pyzaty, ładny, z bystroci oczyma, objął ją i z nadzwyczajnym mówić zaczął.

— Ta Franja taka zła! zawsze tobie dokucza, zawsze chce kłócić się z tobą!..

Klara głaszcząc exoto i włosy malca odpowiedziała.

<http://rcin.org.pl>

— Nie trzeba mówić, że Franja zła; ona ma serce dobre i kocha nas wszystkich. Tylko trochę przódka i powinniśmy jej to wybaczać...

Chłopak obejmując ją ciągle i ze wrziewaniem ku niej oczyma prawił.

— Ty lepsza, lepsza, lepsza, ... ty jesteś mamą moją i Frani i tatki....

Klara zasiniata się i schyliła, głośno podwakszając ucadowata pyzaty bu-

się malca.

<http://rcin.org.pl>

IV.

Narazem kiedy Hygrycz w szlafroku i pantoflach udał się do snu poobiedniego, Franja powróciła do magazynu, a Klara zasiadła z matym bratem nad kajetem i książką, do drzwi matki bawialni ktoś z lekka zapukał. Staś zerwał się z krzesła i w mgnieniu oka drzwi otworzył; Klara podnosząc twarz z nad kajetu brata, oblata się rumieńcem.

— Choćbym miał być natrętem, — a roleta jest więcej niż przykra, bo śmieszna, w drzwiach już zaczął Przyjemski, — przychodzę zrobić pani małą propozycję. Ale na przód dzień dobry, czy dobowy wie —

czór, bo już jest prawie wieczór i zapyta-
nie: Dla czego pani Dris nie była w swojej
kochanej altance?

Nie miałam czasu. Chodziłam do pani
Dutkiewiczowej po nowe czepekki do gar-
nirowania i po pewną poradę gospodarską...

Ach, ta pani Dutkiewiczowa... co ona
kosztuje pani czasu, a mnie zgrzyoty!...

Panu? zgrzyoty?

A tak; bo drugi już raz przez nią zgrzyz-
tem się, nie znalazłszy pani w altance
o zwykłej porze.

Zamienili te słowa patrząc sobie w
oczy ciagle, jakby spojrzenia ich za nie
rozstać się nie mogły.

— Niech pan będzie Taskaw usiądzie...

— Heale nie myślę siadać i przyszedłem
po to, aby pani także tu nie siedziata.

Widzi pani? Pokazał książkę, wziętą
wczoraj od Klary którą wchodząc wrzucił
był w kapelusz.

- Propozycja moja jest taka. Pójdźmy do
altanki i przeczytajmy w Szwajcaryi wspól-
nie. Dobrze?

Niech pani weźmie z sobą robotę. Bę-
dzie pani sobie czyta, a ja będę dla pani
głośno czytał.

Dobrze?

Ach, jakby to było dobrze! Ale obejra-
ła się na Stasia.

- Kiedy muszę powtórzyć z nim lekcję...
Małec, który z zaciekawieniem wiel-
kiem wysłuchał rozmowy siostry z goś-
ciem, objął ją i prosił zaczął.

- Wź, Klareciu, moja droga, moja stoto,
idź jeżeli chcesz... ja sam nauczę się lek-

cy. Wielka rzecz, geografia! Nauczę się
na pamięć i wieczorem wydam przed to-
bą. Zobaczysz, będę jak rzepek gryzł!

— Pewno, Stasiu?

— Pewno! Jak tatke kocham! jak ciebie
kocham!

Radosć oblewata jej twarz, ale jeszcze
z rękopotaniem szepnęła.

A co będzie z samowarem?

Ja samowar nastawię! Wielka rzecz
nastawić samowar! z zapatem wykrzyk-
nęła Stasi.

— A jak tatko obudzi się zawołasz mi z
altanki?..

— Zawołam! Wielkie rzeczy zawołam! Z
jeżeli by Franca wracata to dopilnuję i
także zawołam, żeby nie zobaczyła ciebie
z tym panem, bo jak zobaczy będzie tobie

znowu dokucrać...

Klara zamknęła mu usta pocałunkiem i w dwie minuty potem, z koszykiem piętrzącym się od muslinów i koronek szła przez ogród, obok Przyjemskiego, który mówił.

Pani ma bardzo miłego braciśka... Chciałbym uratować go za to, że na moment uwolnił panią od... służby. Bo pani jest stugą swojej rodziny. Ale co to mówił, ten miły chłopczyk, że jeżeli siostrzyśka zobaczy panią zemną, będzie dokucrać?

Klara zmięszata się bardzo, ale na szczęście w tejże chwili zobaczyła w ogrodzie sąsiednim grę świateł tak piękną, że z rąpatem zawołata.

— Widzi pan! Niech pan spojrzy, tam,

w rogu ogrodu, jak po tej ciemnej alei prze-
slicznie ścieła się promienie słońca... zu-
pełnie jak dywan z nitek złotych i rucho-
mych!

- Czy pani była kiedy w tamtym ogrodzie?
- Nie, nigdy; jakimże sposobem?

Przychodzi mi myśl... że też pierwiej
nie przyszła! Chodźmy razem obejrzeć
ogród księcia!

Przeleżała się tej propozycji.
- O, nie! zawołata, wstęp do tego ogrodu
jest wbronionym przez księcia.....

ś
Zasmiał się prawie głośno.
- Jeżeli ja panią wprowadzę...
To prawda; jeżeli on pozwala to zupeł-
nie tak samo, jak gdyby sam książę poz-
walał.

Pokusa była wielką, bo ileż razy pa-

http://rcin.org.pl

trąc na alei wspaniałe marzyla, aby choć raz w życiu przejść je w całej długości, posiedzieć chwilę w tem morzu zieleni, falującym takim cudnymi światłami i cieniami! Ale nie przestała ucrzuwać trwogi. Stała przed altanką wahaając się, niepewna.

A jeżeli spotkamy....

Kogo?

Księcia!

Przyjemski zaśmiał się znów tak głośno, jak śmiejącym się nigdy jeszcze go nie słyszała.

— Nie ma go w domu... wyszedł jednocześnie zremną, upewniał.

— A możeby lepiej w altance?

Ale on zaczął prosić.

— Proszę panią... pani pewno ma oddaw-

na chęć znajdowania się w tym ogrodzie,
a dla mnie spełnienie chęci pani będzie
szczęściem. Pani prosita gwiazdy spada-
jącej, aby mój z tego lata przejść się po le-
sie... Może przechadzka po tym ogrodzie,
choć w części zastąpi tamtą, wymarzo-
ną.... Proszę panią...

http://rcin.org.pl

Opartaby się pokusie zwiedzenia miejsca
które miało dla niej urok prawie tajem-
niczy, ale prośbie jego oprzeć się nie mog-
ła. Uległa rzekta.

- Dobrze; chodźmy!
- Brawo! zawołał Przyjemski.

Wyglądali jak dzieci rozbawione, tak
oboje byli weseli, rozśmiani. Bardzo szyb-
kimi krokami, prawie biegnąc przeby-
li przestrzeń dzielącą ich z bramką w
sztachetach i weszli do alei szerokiej, w

której ze stron obu, stały potężne pnie drzew
 stuletnich, rozpuszczające na obie strony
 wysokie ściany gązpi niezliczonych. Pro-
 mienie słońca laty się w te zielone gęst-
 winy i przeswiewały z za nich jak strugi
 złota, niektórym liściom nadając przezro-
 czystość szklaną, inne porostawiając w
 cieniach głębokich. Pas ziemi ciemnej,
 ciągnący się u podnóżu pni grubych, zaś-
 cietata sieć, której oka były złote, nie-
 równe, i ruchome. Klara umilkła, zwol-
 niła kroku i uśmiech zbiegł z jej twarzy,
 której Przyjemski przypatrywał się z
 ciekawością, i rozkoszą.

— Jaka pani wrażliwa!.. Zauważył zwicha.
 Nie odpowiedziała, szła jak przez koś-
 ciół, lekko, prawie na palcach, zaledwie
 dotykając ziemi.

W milczeniu przeszli ależ równoległą
ogrodowi, w którym stał domek osadzony
fasolą.

Dopiero kiedy skręcili w drugą równie
jak tamta wspaniałą, tylko nieco krót-
szą, Klara jakby obudzita się ze snu.

Nie idźmy już dalej, szepnęła.

Owszem, idźmy! nalegał. Gdyby ta alea
prowadziła na koniec świata, szedłbym
z panią i nie zapytywałbym o jej koniec...

Ponieważ jednak wiedzie nie na koniec
świata ale pod sam patac... spróbowała
zasmiać się Klara.

Ale nie, zaprzeczył Przyjemski, od jej
końca do patacu jest jeszcze paręset kro-
ków, które zajmuje parter z kwiatami.

Pójdźmy do kwiatów....

Klara stanęła. Nie potrafiłaby...

http://rcin.org.pl

zwać sobie sprawy z przyczyn trwogi którą
uczuwała, ale pod jej wpływem z determi-
nacyjną rzekła.

— Tu usiądę... Na tej ławeczce z darniny...
Jaka ławeczka miła i jakie miejsce ślicz-
ne!

Ławeczka z darniny była niska i tak
mala, że tylko dwie osoby mogły się na
niej pomieścić. Stała pod jednym z drzew
najgrubszych i najbardziej rozłożystych,
na trawie puszystej, jak strzyżony kobie-
rzec. Miejsce było nadzwyczaj ustronne;
zielone ściany drzew zastaniały pałac,
ogród przyległy i inne części tego. Pomię-
dzy przeciwległymi pniami przesiewał
kawał trawnika, na który kładły się
plachty ukośnych światel słonecznych;
a końca alei, dość dalekiego, wychyłał

http://rcin.org.pl

się z ra drzew róg parteru kwiatowego i na tle zieleni wyglądał jak plama, żłozona z barw świetnych i niexsliczonych. Zresztą nie wcale nie było tu widać, ani słychać. Drobne ptastwo swiergotało w drzewach, z których niekiedy, to tu, to ów- dzie, bliżej, dalej, zlatywał liść żółty lub rumiany i kładł się na ziemię bez szeles- tu najmniejszego. Tę ciszę przerwał wy- krzyk Klary. Siadając na ławeczce, pos- trzegła wychylającej się z ra drzew róg parteru, splasnęła rękoma i zawołała. — Bóże! co tu kwiatów! i jakie sliczne!

Przyjemski wziął z jej ręki koszyk z muslinami, postawił go obok niej na ławeczce, i dziwnie czegoś uradowany, po- prosił.

— Niech pani chwileczkę posiedzi tu

sama. Za wróć natychmiast. Proszę tylko nie lekaj się niczego i nie uciekaj...
Wróć natychmiast...

Bardzo szybko oddalił się w stronę patacu.

Młara patrzyła za nim i widziała jak na spotkanie jego wybiegł z za drzew ektopak niedorosty, w spencerze z guzikami błyszczącymi, zapewne ogrodniczek, albo maty lokaj. Przyjemski coś mu powiedział, z gestu ręki wnosila, że wydał rozkaz, a gdy ektopak bardzo spiesźnie odbiegł, obrócił się jeszcze ku niemu i zawołał tak głośno, że usłyszała wyraźnie. — Jaknajprędzej!

Potem wróciwszy, stanął przed nią z kapeluszem i książką w ręku. Ona zbierała już na nitkę duży kawał grubej koronki, którą miała ogarniować czepek,

leżący na jej kolanach.

- Czy to jest czepek pani... pani wdowy po weterynarzu?

- Pani Dutkiewiczowej, poprawita; tak, nikt oprócz mnie od kilku już lat nie garni jej czepeków...

- A czy pani mi nie powie nic o tem dokuczaniu siostrzycki, któremu ofiarował się zapobież mity bracišek?

Zmieszana nie podnosiła głowy z nad roboty. Po chwili, z przymusem rzekła.

- Frania niechętnie chodzi do magazynu, są tam z nią niezupetnie zadowoleni, choć ona sama po mieście zawiązuje stosunki, które na nią niedobrze wpływają...

Przyjemski dokonczył.

- Ma wykrój ust i ruchliwość ceru osób kapryśnych i skłonnych do sprzeczek...

http://rcin.org.pl

Pani musi wiele cierpieć od niej....

— O, nie! z żywością wielką zawołata, ona jest bardzo dobrą, ma serce najlepsze... Tylko martwi mię ogromnie to, że nie lubi szyć...

Jednak trzeba aby uczyła się cegokolwiek, aby potem miała jakikolwiek kawałek chleba! Obmyśliłiśmy z ojcem, że będzie panną magazynową... cóż innego możemy? Ale ja to bieganie po mieście psuje i nie mogę w żaden sposób zaradzić temu. Jest to dla ojca i dla mnie wielkie, wielkie smutwienie...

Mówiła to wszystko ze spuszczoną głową, szyć nie przestając. On słuchał jej uważnie, ale nie siadał i co chwیلę spoglądał w stronę parteru, jakby stamtąd czegoś oczekiwał. Zobaczył nakoniec chto-

paka z blyszczącemi guzikami na spen-
 cerze, wybiegającego z za drzew i nioszące-
 go w ręku wielką wiązkę kwiatów. Szerokie-
 mi krokami, poszedł na jego spotkanie.
 Klara podniosła głowę, gdy odchodził i ro-
 baczyła jak u końca alei brat kwiaty z
 ręką ogrodniska czy lokaja i trzymającą
 je rękę za plecy zatorzyszy spieszenie ku
 niej powracał. Pomyślała, że kwiaty
 te były dla niej i uczyniła poruszenie,
 od którego czepek i koronki zsunęły się
 z kolan jej na ziemię. Przyjemski, któ-
 ry znajdował się już o kilka kroków tyl-
 ko od niej, przystąpił bardzo szybko i w
 mgnieniu oka przyklęknawszy na jed-
 no kolano, jedną ręką podniósł spadeł
 na ziemię przedmioty, drugą podał jej
 wiązkę kwiatów. Jedno mgnienie oka, je-

den ruch, jedno spojrzenie w głąbinę jej
oczu i znowu stat przed nią, a ona,
twarz płonąca, kryta w kwiatach. Na
przód zerwane, ułożone w więź niesfor-
na, były to kwiaty piękne, rozmaite
i pachnące. Kolor ich silna i barwy jas-
krawe stały się dla jej zmysłów, serca,
wyobraźni w jedno wrażenie wstrząsają-
ce z sekundę, w której ten piękny esto-
wiek klęczał przed nią i zatapiał spoj-
rzenie w głąbinach jej oczu. On, wzru-
szony także, prędko odzyskał swobodę.
Siadając przy niej rzekł.

— A teraz, zapomnijmy (wszystkich kto-
potach domowych i niedomowych, o
wszystkiem co złe, co małe, co boli — i pój-
dźmy w świat lepszy!..

Głosem niesmiernie bogatym w tony

i umięjtnie ich wrywajęcym, cxytaé za-
crať.

— „ Ockad zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdełam z tęsknoty,
Z niewiem, czemu ta dusza z popiołów
Nie wylatuje za nią do aniołów ?
Czemu nie leci za niebieskie szranki
Do tej zbawionej i do tej kochanki...!...
Minuty płynęły; liście żółte i rumiane
padały z drzew kiedy niekiedy, tu i ówzicie;
ukosne plachty światła za drzewami,
stawały się coraz krótsze, złote kółka na
ciemnej ziemi coraz mniejsze i mniej
liczne. Klara przestała szyć. Z rękoma
opuszczonymi na kolana i zrenio-
mi nalanemi iskrzącem się złotem, stu-
chata.

On cxytať.

http://rcin.org.pl

— „ Płonieła wonna jak kadziła mirry,
 i widać było że niewiedząc płonie,
 głębszemi oczu staty się zrafiny,
 i przódza fala białości na tonie...”

Jej oddech stawał się szybszym. Czy to sen? Czy już umarła i weszła do raju?
 i wzięła kwiatów obok niej leżącej, roz-
 pływa się napowietrzny trunek zapa-
 chów; z drugiej strony głos piękny i
 wzruszony kryta.

— „ Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,
 i kiedy się wszystkie stowiki uciszą,
 i wszystkie liście bez szelestu winą,
 i ciszej kroćta po murawach dyszą....

Liście bez szelestu padają z drzew to tu,
 to ówde; ale dysząta spokojem i za-
 czynąta nabierać zmierzchu. On kryta.

— „ O takiej chwili, ach! dwa serca płoną,

Jeśli coś mają przebaczyć, przebaczą,
Jeśli o czymś zapomnieć, — zapomną!"
Minuty płynęły; poemat zbliżał się
do końca.

Kochanka uwiedziona zniknęła „jak
sen jaki stoty"; Kochanek, który wie-
rzył się „z tęczy wyszła" żałował na
jej utratę.

„ Stowiki jezera i fontanna płynie,
Mówią mi o niej — ja serce otwieram
Z o smierci przodka modłę się rozpaczę.."

Czytający oderwał wzrok od książki i
przeniósł go na twarz towarzyski. Z
jej śnienie nalanych iskrzącem się sto-
tem, nieruchomych, dwie duże krople
występowały i osiadły na rzęsach.

Ruchem powolnym wyciągnął ra-
mię i okrył dłonią jej rękę, której nie

http://rcin.org.pl

usunęła, tylko dwie krople spłynęły z
ręż na policzki, powłoczone obłokiem
różowym.

— Czy to są trzy zalu, albo szczęścia? bar-
dzo cicho zapytała.

— Po chwili milczenia, ledwie dostyżal-
nie szepnęła.

Szczęścia!

Była pełną szczęścia niestykane-
go, w sposób dziwny zmięszanego z bó-
lem, ale czuła teraz, że kibic jej opasu-
je ramię ostrożnie i obudziła się. Do
szczęścia i bólu wniósł się zawsty-
dzenie tak silne, że je przygłuszyło.

Ruchem stworzonym cofnęła się na
najdalejszy brzeg tawerski i nie podnosząc
powiek, prożko, beztadnie zaczęła zgar-
niać do koszyka muslin i koronki.

- Już pójdę do domu, szepnęła.

On siedział pochylony naprzód, z łokciem na kolanie i wspierał na dłoni czoło, tak prawie jak jej twarz zarumienione. Delikatne jego nozdrza szybko rozduwały się i ścisnęły, ręka mięła szmatkę muslinu ruchem gwałtownym.

Trwało to krótko; opanował się i znowu dłoń potoczył na jej rękę, ale tym razem z siłą prawie rozkazującą.

- Pani nie pójdzie jeszcze, bo jeszcze nie skończyliśmy czytać poematu.

Pierwszy raz odkąd go znata w głosie jego zabrzmiały tony despotyczne. Trzymając dłoń na jej rękę i patrząc w ziemię zamyslił się; zlekka przygryzł dolną wargę. Po chwili, cofnął rękę i

daleko tagodniej przemówił.

— Płazce mi się po myśli nuta, która wśród cudnego poematu „W Szwajcaryi” wygląda jak zgrzytnięcie zębami, wśród pieśni anielskiej. Cóż robić? Muszę ją pani zakomunikować. Razem słuchaliśmy pieśni anielskiej, razem usłyszymy zgrzyt. Dla czego ja jeden mam go słyszeć?

Usta jego zaczęły przybierać wyraz ironiczny, zmarszczka pomiędzy brwiami stała się bardzo głęboką. Po chwili miłczenia mówił dalej:

— Kilka dni temu znalazłem w pokoju przyjaciela książkę, tłumaczenie polskie pieśni miłosnych Hejnego. Nigdy ich przedtem w tłumaczeniu nie czytałem. Przez ciekawość zaczęłem

przełgdać, czytać. Stomaczenie bardzo
ładne, bardzo ładne.

Pamięć mam nadzwyczajnie lokalną.
Kilka wierszy zapamiętałem. Jeden
powiedziałem pani wczoraj; drugi po-
wiem teraz. Niech pani uważnie stu-
cha.

Pochylony, z twarzą na dloni i wzro-
ku nie spuszczając z jej twarzy, powo-
lutho wypowiedział piosnkę Hejnego.

— „ Oboje czuli się bardzo,
Miłości wyznać nie śmieli;
Patrzyli na się z ukosa
Choć miłością płonęli.

A gdy się wreszcie rozstali
W najgrubszej serca zatobie,
Tomarli od siebie zdaleka
Niewiedząc nawet o sobie...

— Uwaga pani... „kochali się szalenie i pomarli od siebie zdala, niewiedząc nawet o sobie!” a to dla tego, że czuli się bardzo.” Są to zgrzyty i dysonanse. Miłosć wzniosła wykwita ze krwi; część nakłada kaganiec na miłosć wzniosłą. Nic na świecie nie jest prostem i łatwym, tylko wszystko skomplikowaniem i trudnem. Czy pani już nie chce uciekać? Może skończymy czytać „W Szwajcarii”? Jakim ja wdziernym pani, za poznajomienie mię z takimi rzeczami. Większą część życia spędziłem zagranicą, w towarzystwie literatur zagranicznych. Jednak i ta jest wspaniałą!... Ja się wiele nauczyłem od pani...

Pomimo wruszeń różnorodnych rasmiała się serdecznie.

— Pan? odemnie? o, Boże! Czegoż ja
kogośkolwiek mogę nauczyć? Tylko Sta-
sia czytać i pisać nauczyłam....

— A czego pani mnie nauczyła, wy-
tlómaczyć może później.... teraz koniec-
my poemat.

„ i zaczął znowu czytać.

„ Kiedy się myślę w przeszłość zagłębię
Niewiem, jak sobie jej postać malować...

Minuty płynęły; ona teraz czyta stu-
chając, ale źle, powoli i krzywo.

Głos czytający umilkł; na trawniku
za drzewami już prawie nie byto ptactw
stotych i z ciemnego pasa ziemi w alei
zniknęły oka stotej sieci. Natomiast,
światła zachodu błyszcząc po drzewach
zapalały u ich szczytów różowe pocho-
dnie i świecki. Na dole zmierzchało;

plama parteru przedtem jaskrawa
zszarzała i tylko kwiaty białe wyraźnie
na niej majaczyły.

Klara wyprostowała w rękach cre-
pek ogarniowany.

— O, Boże! zawolata, jakże ja ogarni-
watam ten crepek.

Cóż? uśmiechnął się Przyjemski; kry-
wo?

Zupełnie krywo! Widzi pan? Wtem
miejsce mnóstwo zmarszek, a wtem
prawie wcale ich niema; tu przysunię-
te do brzegu, a tam odsunięte...

— Katastrofa! pani to pewno sporze?

— Naturalnie, wszystko spruć trzeba;
ale bieda niewielka, w półgodziny prze-
garnięję nanowo.

— Dwom panom służyć nie można,

pani chciała służyć zararem poezji
i prozie, proza się nie udata...

Zastanowiła się chwilę.

- Kiedy ja o tem inaczej myślę. Knie
się daje, że w każdym razie, nawet naj-
prozaiczniejszym, może być poezya. To
zależy od zamiarów, z którymi robimy...

http://rcin.org.pl

O pobudek, poprawił. To prawda pa-
ni ma rację. Ale dla jakiej pobudki
garniemy pani crepki pani Dutkie-
wiczowej?

- Dla tej, że ją kocham, że jestem jej
bardzo wdzięczną, że kiedy ubierze się w
taki wygarniowany crepeczek robi się
taką ładną, miłą, staruszką.

- Jakie to szczęście kochać panią Dut-
kiewiczową, zauważył z westchnieniem.

- Dla czego? zapytała.

— Bo panią Dutkiewiczową można skanować i zarazem powiedzieć, że się ją kocha, a w rozmaitych innych wypadkach tak bywa: trzeba skanować i milczeć, albo mówić i uchybiać szacunekowi:
„Oboje excili się bardzo...”

Nie dokonczył, bo zdaleka, z ogrodu przy-
ległego dato się słyszeć wołanie Stasia:
Marciu! Marciu!

Nie znalazłszy siostry w altanie
nie widział gdzie być mogła i wrzesz-
czał coraz głośniej, na całej dwa ogrody.
Klara z koszykiem w ręku zerwała się
z Taweczki.

— A moje biedne kwiaty? przypom-
niał Przyjemski; czy pani ich nie
weźmie?

— Owszem, dziękuję pani, odpowiedzia-

Ta biorąc bukiet, który on, razem z jej ręką, na chwilę zatrzymał w dłoni. Błyskawice strzelity z szafirowych oczu, nożem ruchome znnowu rozłożyły się szeroko; ale po kilku sekundach opuścił ręce i szedł obok niej ależ, w oddaleniu paru kroków.

Na zawrocie alei zapytał.

O której godzinie wieczornej pani kończy już wszystkie zajęcia domowe?

O dziesiątej, odpowiedziała, ojciec i Stas' zawsze śpią już o tej porze i Fran-
nia najczęściej.

— Więc kiedy oni zasną i pani będzie wolną od... służby, niech pani wyjdzie do ogrodu posłuchać muzyki. Ja i mój przyjaciel, zaczniemy grać dla pani od dziesiątej... Dobrze?

Dobrze ?

— Dobrze, Dziękuję ! odpowiedziała i stała przy bramce w sztachetach, w cie-
ninie drzew już dość gęstym.

— Dobranoc panu.

Wziął obie jej ręce w swoje i ciałem ja-
kimś wpatrywał się w nią ze spuszczoną
twarzą.

— Grając, szepnął, będę myślał, że pani
tu stoi gdzieś, koto sztachet i stukła
mojej muryki. Tym sposobem, dusze na-
sze będą razem.

Szybko podniósł do ust jej ręce i z ko-
lei pocałował obie.

W godzinę potem, Włóczył siedząc na
wąskiej kanapie i swolna pijąc herba-
tę bawił się z uczuciem przyjemności
widocznem piżknem kwiatami, stoją-

cemi na serwecie siatkowej, w dużym
 dzbanku glinianym. Formalnie pies-
 ciał się z nimi, wachal je, gładsil sto-
 nię. Szerególnie zachwycały go werbe-
 ny. Jak gwiazdy! mówił z uśmiechem,
 który na tę chwilę cały kwas swój utra-
 cił. Klara zapalata lampę, przyrzą-
 dzała ojcu herbatę, Stasiowi dawata
 mleko, krętała się gawędząc, prawie
 szerebiąc. Opowiadała że była w og-
 rodzie książęcym, że czytała tam z p.
 Przyjemskim „W Szwajcaryi,” że on
 dał jej te kwiaty, że widziata zdala par-
 ter znajdujący się pod pałacem i jak
 on wyglądał zdaleka na tle ogromnej
 zieleni ogrodu.

Biła z niej całej radość promienna;
 ruchy stały się swinne, nerwowe. Wi-

doznuem było, że nie mogła usiedzieć na miejscu, że czuła potrzebę, chodzić, biegać, mówić, wyrzucać z siebie nadmiar życia wstrzymanego. Niekiedy milkła w potowie wyrazu i stawała nieruchoma, oniemiała, że wrokiem i duszą odbiegłymi grzebiną. Wygrzesz nie przypatrzył się jej bardzo, słuchał tego co mówiła, czasem zamyslał się o czymś, ale nie kwasno, ani ponuro, owszem, jakby cien filuterności błędnit mu po różnych wargach. Franca która od kilku minut powróciwszy z miasta słuchata opowiadań siostry, ozwała się nagle, głosem ostrym i z oczyma biegającymi.

— Et! a mnie zdaje się, że nic z tego nie będzie,

Ten pan Fryjemski kocha się w Klav-
ce, ale żeby się z nią ożenił, to wątpię.
On jest dla niej za wielkim panem... Ta-
cy panowie tylko batamucą biedne
drieweryny, a potem porzucają!

Wygryz zatrząst się cały.

Cicho bądź, jędro! krzyknął; zawsze
musisz kluc siostrę. Kto ci tu mówi
o jakim kochaniu się albo żenieniu...

Zaczęł bardzo kaszlać, obie córki ru-
ciły się do niego z wodą, herbata, pas-
tylkami, ale choćiarż atak przędko mi-
nął i Franja skruszona stala się pię-
szoctliwą dla ojca i siostry, wesotose
Klany zgasta jak świeca zdmuchnięta.

Przecież wiedziata o tem, że młode
drieweręta jeżeli kochają i są kochane-
mi wychodzą za mąż. Ale myślata

o tem bardzo rzadko rawsze, a w sto-
 sunku do Przyjemskiego nie pomyslała
 ani razu. Dotąd, widzieć go i rozmawiać
 z nim, było dla niej szczytem pragnie-
 nia i szczęścia. Siostra brutalnie zerwa-
 ła gazę Dzięwiczą z tego co działo się w jej
 sercu. W mózgu jej, jak mucha w pajęczy-
 nie, uwisły słowa Frani, „To za wielki
 pan dla niej.” Zawsze czuła wyższość
 jego nad sobą, wyższość rozumu i elegan-
 cyi. Teraz, przybyło stanowisko. Jakkol-
 wiek tylko sługa książęcy wyższego rzędu,
 był w porównaniu z nią wielkim panem.

Nazywał księcia przyjacielem swoim,
 rozporządzał się w domu książęcym jak we
 własnym; kto wie? może był bogatym.
 Ostatnie to przypuszczenie zabolało ją naj-
 mocniej.

Na dnie przecież miała to uczucie, że chociaż w porównaniu z nim była dziewczyną ubogą i skromną, nie dzielito ich jednak nic nieprzewycięzonego. Jeżeli kocha... myślała. W sercu jej śpiewało słowo czarodziejskie: Kocha! kocha! Gdy tylko ojciec jej poszedł do swego pokoju z gazetą, porzycaną od kolegi biórowego i po której przeczytaniu wnet usypiał, Staś już usnął i Frania zaczęła przybierać się do snu, wybiegła na ganek. Nocność był ciepły, ale pochmurny i gwiazd wcale nie było widać; tem gorzej wśród ciemności zarył się szeregiem oświetlonych okien pałacu. Wiatr rzywał się z pod chmur chwilami dość silny, chwilami ustawał zupełnie. Raz zerwał się i rozniósł po obu ogrodach wielką falę tonów muzycznych.

Z ra okien wysokich, wazkich, zarzeczych się
 od swiatel, fortepjan i wyolonczela zaczęły
 lać w ciemność ogrodu muzykę wielkiego
 stylu, powazną i spokojną. Klara prze-
 biegła ogród i stanęła przy sktacketach, tuż
 u allanki browej. Oparta o sktackety stu-
 chata i nie myślała już o niczem, tylko
 czuła rozkosz niewymówną, rozptywającą
 się po całej jej istocie. Było w tej rozkoszy
 uczucie piękna, złozonego z nocy chmurnej,
 z okien wysoko świeczących w ciemności, z
 westchnień wiatru, z optywającego to wszyst-
 ko morra muzyki prawie uroczystej. Ale
 najwięcej było w niej rżewności, wdżigżności,
 namięstnego wrżbijania się Duszy ku tym
 oknom, podobnym do otworów raju, przez
 które wylewata się jasność i harmonja
 rajska. Z oczyma wrżiesionemi ku szere-

gowi punktów świecących patrzala i stucha-
la, w pamieci jej szeptały słowa: „Dusze
nasze będą razem!” i z mocą ogromną uszu-
ta ich prawdę. Muzyka, była duszą jego,
która szatywała do niej z góry i wchodzi-
ła w nią z przeszerotą palącą i stódką.

Zakryta twarz stonimi i oddychające szyb-
ko, brata w siebie tony muzyczne, jak powie-
trze; oddychała niemi, myśląc, że oddycha
jego duszą.

kwadransie upływały, potem na minut
kilka stało się cicho, w patacu grać przes-
tano ale po kilku minutach znówu oswa-
ta się muzyka cichsza, jakby więcej oddalo-
na, bo wjolonczela umilkła i tylko forte-
pjan spiewał. Spiewał dość długo, wjolon-
czela milczata; natomiast w alci, u sa-
mych prawie sztachet oswato się przyci-

http://rcin.org.pl

szone stapanie. Klara wyprostowała się jakby prądem elektrycznym uderrona. Za sztachetami, tuż przed nią stanął mężczyzna wysoki i w ciemności nawet zgrabny, wzięt w dłoń obie jej ręce i szeptyem przemówił.

Musiątem koniecznie dziś jeszcze panią widzieć. Grając myślałem ciągle: pój-
dź do niej! Przystałem grać i przyszedłem.
Powiedziałem jemu: graj dalej, graj ciągle!
bo chciałem rozmawiać z tobą przy wtó-
rze muzyki!

Jaka noc chmurna i jak wiatr szumi!
Prawda, że tony muzyki na tle tego szu-
mu tworzą jakiś hałas napowietrzny? Po-
stuchajmy razem.

Coraz mocniej sciskał jej ręce w swoich,
głową przybliżał do jej głowy. Chwilę sta-

li, słuchając. Piesń tęskna i namiętna
spajata się z szumem wiatru, który powiał
z pod chmur i razem z nią uleciał pod
chmury. Muzyka lata się dalej w ciem-
ności. Ogrodu zupełnie cieką.

— Czy dobrze, że przyjeżdżam? Musiałem
cię widzieć i pożegnać na cały dzień ju-
trzejszy.

Dzisiaj, zaraz, stryj mój przyjedzie i zabie-
rze mnie do siebie na cały jutro... Zobaczę cię
aż pojutrze. Czy dobrze zrobił, przychodząc
dzisiaj jeszcze, na chwilkę? Czy dobrze?

Upojona, prawie nieprzytomna, szepnęła.

— O, dobrze!

Pociągnął jej rękę tak, że cała pochyliła
się ku niemu i zaczął znówu szeptać.

— Idź do bramki w sztachetach, ja tam
pójde, spotkamy się, pójdziemy do naszej

alei, na naszą Taweczkę... Dobrze?

Ona przecząco wstrząsnęła głową i zaszeptała blagalnie...

Nie... Niech mię pan nie prosi... o, niech mię pan nie prosi, bo pójdę....

Ruchem gwałtownym odsunął jej rękę, ale po sekundzie znówu przyciągnął je ku piersi.

— Tak! nie idź! Dziękuję, res' nie posata! niech rozdzielają nas te sztachety. Ale nie odchyłaj główki.... przybliź ją... pochył... tak! o, moja droga!

Głowa jej leżała na jego piersi. Wciębności to wietrznej, to cichej... fortepjan spiewał, tęsknił, kochał... Z twarzy, przy jej twarzy, z oczyma w jej oczach, zapytał.

— Kochasz mię?

Kilka sekund milczenia, potem jak po-

wiew najcichszy, z ust jej rozchyłonych w upo-
jeniu wyszedł szept.

Kocham!

O, droga!

Secz w tejże chwili stala się coś nadzwyczajnego. Przed paru już minutami wychyliła się była z ciemności postać ludzka i kilka razy to zblizala się na palcach do pary rozmawiającej, to znnowu trwożnie się oddalata. Był to człowiek, mający ubranie z guzikami metalowemi, które bielały mu u piersi i rękawów, ilekroć znalazł się w cieniu mniej głębokim. Szeptu pary stojącej u sztachet nie mógł słyszeć, może nawet nie widział kobiety, którą zastaniata wysoka postać męzka; ale tę ostatnią rozpoznawał dobrze i przez parę minut krążył za nią, w niepewności co ma

uczynić.

U sztachet mężczyzna pochylony nad głową kobiecą, u piersi jego zwieszoną, szep-
tał.

— Spójrz na mnie!.. nie uchylaj mi ust...
Daremnie.... wyjadę.. wezmę!..

W słowach tych, jakkolwiek bardzo ci-
chych brzmiał gwałt namistności i woli
człowieka nawykłego do zwyciężania. Ale
o kilka kroków za nim zabrzmiał głos
pełen uszanowania i niesmiałości, jed-
nak wyraźny.

— Jasnie oświecony książę!..

Mężczyzna drgnął od stóp do głowy,
ręce opuścił i odwracając twarz, machi-
nalnie zapytał.

— A co tam?

— Jasnie oświecony książę stryj przyje-

chat i rozkazał szukać wszędzie jasnie
oświeconego...

Teraz dopiero ten, do którego stosowały się
te słowa opamiętał się i ogarnął go gniew
ogromny. Z gestem gwałtownym i głosem
drżącym krzyknął.

Prez!

Walei zaszeleciły kroki oddalające się,
bardzo pospiesznie. On obrócił się znów
ku drzewcyńce, która stała za sztacheta-
mi wyprostowana, sztywniata, jak w
ziemię wryta.

Probuje usmiechać się, zaczął mówić.

— Wypało się wszystko! przeklęty fagas!..
nie gniewaj się, bo uczyniłem to z obawy,
abyś nie pierzełta.....

Ona z szeroko otwartymi oczyma, szep-
tała.

— Pan ? książę ?

Było w tym szeptie coś prawie obłąkane-
go.

On zaczął znówu.

— No tak... ale coż stąd ? Czyż dla tego...

Y próbował wsiąść znówu jej ręce. Ale
ona podniosła je ku głowie, zatopita we
włosach i z ust jej wypadł krzyk bez słowa.
tak głośny, że rozległ się po obu ogrodach.
Jednocześnie odwróciła się i jak w przestra-
chu śmiertelnym biegnąc, zniknęła w
ciemnościach.

V

Pisiarz Oskar powrócił z wycieczki na
 trzeci dzień około wieczora. W godzinę po
 powrocie szedł aleją ogrodu, tak chmurny,
 że aż posępny... Przy laweczce z darniny
 stanął, patrząc na niskie siedzenie i doko-
 ta. Była to chwila poprzedzająca zmierzch.
 Na trawniku przesiewającym z ra przy
 grubych leżały ukośne płachty światła
 złotego; na ziemi, w alei, drgaty kota i kół-
 ka złote. W niskiej murawie laweczki
 widać kilka kwiatów zapomnianych.

Wszystko tu było zupełnie tak samo,
 jak rano, o tej porze.

Pisiarz ręką poręczym usiadł na

Tawecze, kapelusze zdjął, czcoto na dłoni oparł i półgłosem wymówił. - Nieszczęście!

Przed godziną, gdy tylko powrócił, znalazłszy się sam na sam z kamerdynerem Benedyktem, krótko zapytał.

- Coż - tam ?

Stuga dawny, ulubieniec, odpowiedział z niskim ukłonem.

Że, jasnie oświecony książe! Wynieśli się...

- Kto wyniósł się? Zawołał książe.

- Węgryerowie.

- Zkąd się wynieśli ?

- Z domku w tamtym ogrodzie,

- Kiedy ?

- Dzis raniutko.

- Dokąd ?

- Jeszcze niewiem, ale jeżeli jasnie osi-

wieczny Książę rozkaze...

Chciał powiedzieć: dowiem się, usnał jednak za lepsze nie dokończył myśli. Czekat. Książę nie mówił nic. Stał twarzą do okna i nie odwracając się nie pytał jeszcze.

— Nie widziałeś jej?

Owszem, Benedykt ją widział. Chciał mieć ciągle na oku domek osadzony fasolą, wczoraj wieczorem trochę po 10^{ty}, szedł aleą graniczącą z tamtym ogrodem. Póź, usłyszał ptacz. Zbliżył się ostrożnie, po cichutku i z za drzewa zobaczył ją klęczącą za sztachetami, z rękoma i czołem opartemi o sztachety. Bardzo ptakata. Raz podniosła głowę i patrzyła na patacz. Potem znowu wybuchnęła ptaczem i tak pochylita się ku ziemi, aż jej ręce i czoło zatopity się w trawie.

Ale kiedy pan Przyjemski zaczął grać w patacu, zerwała się i jak strzata pobiegła do domu. To było wczoraj, pomiędzy 10^{ta}, a jedenastą wieczorem. Dzisiaj o 7^{mej} rana Benedykt poszedł do tego znajomego swego, który mieszka na tamtej ulicy, naprzeciw ich parkanu i dowiedział się, że Włgryerowie wynieśli się stąd prawie o wschodzie słońca, a na ich miejsce wniosta się jakaś staruszką ze Sturząca i z kotem.

Wszystko to Benedykt opowiedział tonem relacji zupełnie obiektywnej. Zsiadł, nie odwracając twarzy od okna, rzekt. - Możesz odejść.

Kamerdynerowi zdawało się, że wymawiając te dwa wyrazy, miał głos bardzo zmieniony.

Teraz, Księżę Oskar siedział na ławeczce z darniny, z czołem w dłoń, ogromnie smutny i zamysłony.

— „Oskar zniknęła jak sen jaki zloty.”
Zniknęła! Ale to bagatela. Nie łatwiejszego jak ja znaleźć. Słowo tylko powie Benedyktowi i jutro, albo za dwa dni będzie wiedział o jej nowem mieszkaniu. Ale czy szukać? Uciekła.)

Niewieści instynkt zachowawczy pchnął ją do ucieczki. Takim jest porządek świata. Samica ucieka przed samcem, jeżeli niema zotoczyć z nim gniazda. A ona taka rozsądna i tak szlachetnie dumna, — rozumiała, że tu mogło być dla niej szczęście krótkie, a nieszczęście wielkie. Uciekła z ptaczem ogromnym, ale uciekła!

Jaka wola silna - w tem dziecku!
 Jednak dla niego była słabą i on bywa -
 w wypadkach podobnych - bardzo słabym;
 kto wie, co by się stało? Dobrze że się nie
 stało. Nigdy potem nie darowałby sobie
 tego. Nigdy czy należy szukać i znowu za-
 czynać?... wystawiać ją znowu na nie-
 bezpieczeństwo? Ja, bo dla niego,.... ach,
 dla niego, usmiechnęło w niej się zbawie-
 nie, odnowiona wiara w możliwość istnie-
 nia na ziemi wielu rzeczy, o których
 był już zwątpił. Przez te dni kilka czuł
 się wskrzeszonym... Szalonym szczęściem
 byłoby posiadać tę istotę przeczystą i tak
 prostą ciałem i duchem. Szalonym
 szczęściem byłoby już tylko, w tej chwili
 ją widzieć.... Gdyby ją zobaczył, prosiłby
 o przebaczenie za to, że zmógł jej spo-

kój, że wygnał ją z jej skromnego kąta,
 że przez niego płakata tak ogromnie...
 Tak; ale po prośbie o przebaczenie jaki
 ciąg dalszy? „Oby cię Bóg zachował
 tak piękną, czystą, powiewną!” Nie za-
 chowałby! Gdyby spotkali się znowu, nie
 zachowałby pewno! Szkoda tego kwiatu!
 a jednak;...

Wstąpił i poszedł dalej. W alei równo-
 ległej z ogrodem zaniedbanym stanął zno-
 wu. Przypatrywał się domkowi w fasoli,
 mianowicie matemu gankowi, który nie
 był pustym.

Na wąskiej lawce siedziata tam sta-
 ruszka w czarnej sukni i w białym czepku.
 Robiła ponurochę, której druty w promie-
 niu słońca migotały dokota rąk jej jak
 iskierki stalowe.

http://rcin.org.pl

- Pewnie pani Dut... kiewierzowa!
 Namyślał się chwilę, potem otworzył
 bramkę w sztachetach i wszedł do ogrodu
 przyległego. Staruska siedząca na ganku,
 widząc nadchodzącego podniosła się z sie-
 dzenia i gdy on witał ją przechyleniem kape-
 lusa, zagadła pierwsza, z uśmiechem
 dobrodusznym na ustach szerokich.

Czem mogę służyć księciu panu? Niech
 Księże pan będzie łaskaw usiąść na mo-
 im gancezku... będzie to dla mnie wiel-
 ki honor... proszę Księcia pana!

Przytem dygota nie raz, ale dziesięć ra-
 zy, co nie było łatwem z powodu matosii
 gancezku, którego cześć zajmował jeszcze
 kot opasty, leżący na dużej poduszce.
 Ona jednak, pomimo ciemoty robiła dy-
 gi poruwiste i razem przysiadające, przy-

czem z pod spódnicy krótkiej ukazywały się nogi w białych pończochach i prunelowych trzewikach.

— Niechże Książę pan zrobi ten honor mojej chacie i usiąść raczy... Czemu sturzyć mogę?

— Jeszcze raz dygnęła, pokaruzge z pod czarnej sukni białe pończochy i usiadła na uprzednim miejscu, z drutami i niciami na kolanach.

Książę nie usiadł, tylko wszedłszy na ganeczek odkrył głowę i grzesznie zaprzętał.

— Czy państwo Węgryczowie już tu nie mieszkają?...

— Nie mieszkają... nie mieszkają... potakująco trzesząc głową potwierdziła staruszka, dziś wrana przeniesli się gdzieindziej.

i ja jestem teraz sąsiadką księcia pana...
ehe, ehe, ehe...

Księżę, głosem aksamitnym zapytał.

— Czy z panią Dutkiewicz mam przyjemność...

— Tak, księżę panie. Dutkiewiczowa do usług księcia pana...

A czy można wiedzieć, dokąd przenieśli się państwo Węgryerowie?

Teraz, z durej i rumianej twarzy starszki uśmiech dobroduszny i przymilony zniknął, a zastąpił go wyraz złości, potężnej z powagą. Oczy błękitne jak nierapominajki podnosząc ku niemu i głową w obie strony poruszając odrzekła

— Nie można! nie można!

Palce pomarszczonej do wysokości ust

podniosła i raz jeszcze powtórzyła.

— Nie można!

Ale od tego ruchu, kłębek bawelny spadł z kolan i potoczył się po dziurawej podłodze ganku. Próbowala przyciągnąć go ku sobie nacią, ale to nie pomagało.

http://rcin.org.pl

Księżę podniósł i podał jej kłębek.

Zerwała się z siedzenia i znowu uczyniła dyg posuwisty i przysiadający.

— Dziękuję Księżciu panu... Księżę pan fatygował się... bardzo dziękuję...

Płeciami oparty o stupek ganku, ze smarszeczka bardzo głęboką na czołe i rumienkami na białych policzkach, Księżę się zapytał.

— Czy pani myśli, że byłoby mi trudno znaleźć nowe mieszkanie państwa Wy-

gryzów... gdybym poszukał?

Splotła palce krótkie, pulchne i ra-
wotata.

— Dla Księcia pana wszystko łatwo..
Mój Boże, z takimi środkami i stosunka-
mi, co może być trudnego? Książę pan zna-
lałby w moment ich mieszkanie, ale...

Uśmiechnęła się filuternie.

— Ale książę pan nie będzie szukał!

Był znać ciekawym wszelkich zjawisk
świata, bo i babinie tej przypatrywał
się z niezakim zajęciem. Przytem, cze-
pek który miała na głowie, gęsto ogar-
nirowany koronką sztywną, wiele mu
przypominał. Dwa razy widział go
w rękach Klary. Nie zmieniając po-
stawy stojącej, skrzyżował tylko na
piersi ramiona i znowu zapytał.

— Dla czego pani mówi tak na pewno, że ja nie będę szukał państwa Węgryczków?

Babina patrząc na niego, samrugata powiekami już nie mającemi rzęs i odwręta.

<http://rcin.org.pl> — Bo książe pan jest dobry... ja to widzę. Ehe, nie z jednego pieca chleb jadłam i nie jednego księcia albo hrabiego widywałam, służę w młodości za pannę służącą po dworach wielkich. Odgadnę wszystko choćby z bagateli. Z Książęta i ludzie pospolici bywają różni. Ale książe pan jest dobry.

Odgadłam z bagateli. Książę pan podniósł mi kłębek z ziemi; starość moja uszanował. Wiele jest książąt i nawet ludzie pospolitych, co to tylko imają

sobie że są księżętami, którzyby tego dla starej, prostej kobiety nie zrobili. Książę pan ma dobre serce i umie szanować to co pan Bóg i ludzie szanować rozkazali. Już ja to widzę i z oblicza godnego, i z mowy przyjemnej, i z tego kłębka...

Zasmiała się dobrodusznie, przyjaźnie.

Książę Oskar stał z głową pochyłą.

Opinia pani bardzo mi pochlebia... Ale chciałbym wiedzieć, jakim sposobem stało się to chasse - croisé? Z czyjej przyrzeczyny? Na czyje żądanie?

Staruszką przedko trzysta głową.

— Rozumiem, rozumiem! Na jej żądanie... na jej własne żądanie! Przybiegła do mnie wczoraj z kościoła, w którym modliła się cały ranek, przypadła mi do kolan i wszystko powiedziała... Komuż miała powie-

Dzieci? Matkę jej i ja sama na ręku
 nositam... Holana moje ścisłkajac pro-
 sita: „Przenies' się tam babuniu a my
 przeniesiemy się do twego mieszkania...
 na ten czas, dopóki...” rozumie książkę
 pan? „Tylko, - mówi jeszere, - ja z oj-
 cem mówić o tem nie będę, bo nie mogła-
 bym spokojnie... a jemu trzeba powie-
 dzieć najspokojniej.” Posztam tedy i sa-
 ma panu Teofilowi rozpowiadziłam,
 wytłómaczyłam, zaproponowałam. To
 człowiek rozsądny. Zrozumiał, zgodził się
 i jeszere mi dziękował. Córkę kiedy przysz-
 ta do domu uscisnął, trochę też i wygody-
 rał, trochę... W noży podobno bardzo kas-
 lał, ale, przejdzie mu to, przejdzie.. Za
 ras' oris' raniutenko, Tapu capu, manat-
 ki i graty swoje kasatam tragarrrom

przenieść. tu, ich tam, i już! Powie-
 działam księciu panu wszyściuteńko
 jak było, bo to się naterato... serce nie
 stuga, a czy książęce, czy ektopskie, to
 wszystko jedno: Kiedy boli, to boli... więc
 porostawie serce bolejące w niespokojno-
 ści, to okrucieństwo. Wszyściuteńko powie-
 działam księciu panu...

Książę milezał stugo, był teraz blady,
 i surowy. Po paru minutach, podniósł
 twarz i zapytał.

— Czy nie uzna pani za możliwe, abyś-
 my zobaczyli się z panną Klarą raz je-
 szcze, ostatni, tu, w obecności pani?

Błękitne oczy staruszki oszklity się
 łzami.

Z podniesioną ku niemu twarzą różo-
 wą i pomarszczoną, szepnęła.

— Księżę panie, to sierota i opiekunka sierot... chociaż uboga...

Tu, najniespodzianie, kot w białe i żółte taty, który przed chwilą obudził się i leniwie wyciągał na podusze, skooczył na kolana pani swojej i rzucił tam psotę wielką, bo pończochę z kłębkami na ziemię rzucił i sam tapy w niej zaplątał.

Psik! zawołata Dutkiewiczowa; psik! na poduszkę! A na poduszkę!

Chustką wydobytą dla otarcia oczu mokrych trzepnęła kota, który zeskoczył z kolan, ciągnąc za sobą pończochę, druty, nici, wszystko co tam było. Ale nikt nie zwrócił uwagi na losy pończochy, ani wplątanych w nią tap kocich. Księżę Oskar stał teraz tuż przed babką.

która chciała konczyć zdanie przerwo-
ne.

- Chociaż uboga, Książę panie, ale...
- Niech pani nie kończy... wszystko
co by pani mogła mi powiedzieć o pannie
Klarze Węgiersównie wiem sam i mo-
że jeszcze więcej. Czy pani zechce po-
wiedzieć odemnie kilka słów pannie
Klarze?

Dutkiewiczowa przez chwilę patrza-
ła na niego oczyma mrugającymi.

- Czy książę pan nie będzie jej szukał?
Że schyliła twarz milerał, aż pod-
niósł głowę i odpowiedział.
- Nie będę.
- Słowo książęce? zapytała jeszcze.
Stał się bardzo bladym. Palit mosty
za sobą; bardzo cierpiat. Znowu po mil-

czemu chwilowem odpowiedział.

— Słowo estowicka uściewego.

Babinie twarz zajaśniała radością.

— Stucham teraz księcia pana. (Wszem, powtórzę. Serce nie stuga: kiedy boli, to boli.)

http://rcin.org.pl

(Jeżeli można wylać na nie krople balsamu, to kremur tego nie zrobić? Co książę pana rozkaże jej powiedzieć?)

Niech pani powie pannie Klarze, że to com jej okazywał nie było żartem, ani kaprysem, lecz z początku symfitya, a potem miłością i czcią, — czcią dla jej czystości nieskalanej i dumy szlachetnej. Niech jej pani powie, że przez tę czesć poświęcam miłość swoją, że żadne rozstanie, — a Bóg jeden wie ile już przebytem rozstań, — nie wstrząs-

nęto mną tak do głębi, że pragnę aby wspomnienie o mnie...

Głos zatamował się mu w gardle, w ościach migotało srebro wilgotne. Z głębokim ukłonem rzeź.

— Zegniam pania!

Babina zerwała się i dwa razy jeszcze wygnęła posuwisto i przysadristo, blyskając z pod krótkiej spódnicy pończochami białymi. Potem usiadła na ławce, przyłożyła chustkę do oczu i rozplakata się. A kot w żółte taty nie mogąc wyplatać tap z nici, siedział razem z pończochą, drutami i kłębkami na drugim końcu ganku, i zafosnie na nią patrząc, miauczał. W palacu szereg salonów był już oświetlonym lampami i kandelabrami.

Książę Oskar wchodząc do gabinetu
wspaniałego urzędnika, objął się na
Benedykta, który siedział za nim.

— Czy pokojowiec został już odprawiony?
Kamerdyner zmięknął się.

— Nie jeszcze Jasnie osw. Książę! Chto-
pak płacze i prosi...

Porostawieć go na służbie!

W myśli dodał: „Co on winien?”

Benedyktowi wydał rozkaz.

— Poprosz tu pana Przyjemskiego...

Szybko przebiegał pokój obszerny i
czyszczone oświetlony do którego po kilku
minutach wbiegł mężczyzna trzydzie-
stoletni, brunet, wzrostu małego, z oczy-
ma rozumnymi, rękami żywymi, z
wyrazem twarzy śmiałym i wesołym.

— Książę mi się wesoł. Czy będziemy

http://rcin.org.pl

grali, albo pisali?

Książę stanął naprzeciw niego.

— Dobry sobie jesteś, mój kochany! Mnie wściekłość ogarnia, od pięt do mózgu, a ty mi proponujesz granie, albo pisanie... Chce ci to powiedzieć: jutro wyjeżdżamy na wieś... bądź taskaw porozumiej się dziś jeszcze z plenipotentami, adwokatami i wszystkimi temi figurami niech do mnie na wieś przyjeżdżają, kiedy im czego będzie trzeba. Ja tu teraz nie wytrzymam! Ja potrzebuję ruchu, zmiany, zapomnienia i tego, aby ona mogła powrócić tam gdzie jej byto zdrowo i przyjemnie... Poswić ty już dla mnie swoje Perkowski i jedź ze mną, bo gdybyś nie chciał jechać, tobym cię zostawił, ale chyba -

bym tam sam jeden oszalał z desperacyi...

Przyjemski siadł na fotelu i trochę żartobliwie wymówił.

— Czy desperacya księcia tak wzrasta? Ten stanął przed nim i rzekł chmurownie.

Nie żartuj, Juliuszu. Zabnąłem głębiej niżem się sam spodziewał. Cierpię, jak utrapieniec.

Przyjemski spoważniał.

— W takim razie, boli mię to niewymównie.)

(Paniny Perkowskie są to personele głupe i pretensjonalne, które z rozkoszą poświęcam i jutro z księciem jadę. Ale się nigdy nie spodziewał, aby chwile, które książę spędzał pod mojem natęż-

kiem w sposób zapewne bardzo przyjemny mogły skończyć się tak tragicznie.

² Książę wybuchnął.

— Mój Juliuszu, ty jeden wiesz, co myślę, o ludzian. Albo pocklebecy, albo wietrznicy, albo niewdzięcznicy...

— Styratem już to nieraz, wtrącił Przyjemski.

² Kobiety także: albo głupie i nudne, albo zabawne i rozpustne, albo mieszające w jednym ciele dwa duchy: z których jeden jest niebieskim a drugi piekielnym...

— ² to styratem.

— ² Życie jest jednym wielkim baksensem. Dopóki człowiek wierzy, ufa, dopóty czuje się szczęśliwym, ale jest dzieckiem. Są tacy, którzy do śmierci

nie wyrastają z iluzji. Ale temu kto
z nich wyrosnie, co pozostaje?

(Skoro wszystko jest fałszem, cieniem
zwońniczym, puchem nietrwałym....

— To słyszę bardzo często...

Książę stanął.

http://rcin.org.pl

Otoż widzisz! Znalazłem to w co wie-
ryć przestałem. Znalazłem w niej i
nawet w jej otoczeniu to... w co już
nie wierzyłem. Nawet w tej wdowie
po weterynarzu jest coś, coś takiego...

— W jakiej wdowie? po jakim wetery-
narzu? zadziwił się Przyjemski.

— O tem ty nie wiesz i mniejsza o to!
Ale że też między takimi ludźmi by-
wa coś takiego... przez nią dowiedzia-
łem się że bywa....

Z nowym wybuchem zawołał.

— Wiesz Juliuszu... to drzewce sypało mi perły do duszy! A przytem sliexna!... pięknością skończoną nie jest, ale oddałbym sto piękności skończonych za jej wdzięk prosty, skromny... za jej oczy stote... za jej uśmiech stoćki....

Opuszcil ręce, rzucił się na fotel.

— Coż, kiedy „Zniknęła jak sen jaki stoty!”

² Zakrył ręką oczy, umilkł. Młody brunet z wesołą i śmiałą twarzą rasepił się, myślał.

— Wiesz to jednak tak na serwo! rzekł półgłosem i więcej jeszcze spoekmurniał. Po chwili wstał, zblizył się do swego dostojnego przyjaciela i tonem pocieszenia mówić zaczął.

- Wize niech ja ksiazke odnajdzie!
Nie latwiejszego... w miescie tak nie-
durem.

Ksiazke podniosl glowe i zatopil w
nim spojrzzenie ostre, twarde.

- Po co? rzekl, to taka, ktorej za mil-
jon nie mozna kupic, ani miljonem
pociaszyc.....

http://rqin.org.pl

Niech mi ksiazke przebaczy. Rada
moja byla zla. Podyktowal mi ja na-
przode... zal obudzony widokiem za-
lu ksiecia.

Teraz on zaczel szybko biegac popo-
koju; targal czarnego waznika, myslal,
az znowu stanal przed przyjacielem.

- Wize co? zaczel wahajacym sie gto-
sem. Co? Innej rady niema. Ksiaz-
ke daremnie dotad szukal na swie-

cie uczucia prawdziwego, szczęścia,
celu i różnych tam podobnych rzeczy.
Daje się księciu, że je znalazł w tej
dziwerypie, którą w dwa dni odsru-
kać można. Biorę to na siebie. Od-
szukam ją i niech się książę z nią
ozeni!

Książę Oskar podniósł głowę i
spojrzał na powiernika takimi
oczyma, jakby usrom własnym nie
dowierrat.

— Co powiedziales? zapytał.

Przyjemski śmiało powtórzył.

— Niech się książę z nią ozeni!

Twarz księcia zaczęła szybko zmie-
niać wyraz, aż nagle po gabinecie
obszernym i wspaniałym rozległ
się wybuch śmiechu.

— Cha, cha, cha, cha! cha, cha! cha,
cha! cha, cha!

Głosem przez ten śmiech przerywa-
nym ksiądz Oskar mówi.

— Parady jesteś, mój Juliuszu, pa-
radny! Cha, cha, cha! Myślałem,
że zginę z żalu, ale cha, cha, cha!
tybyś mógł rozśmieszyć umarłego, cha,
cha, cha, cha!

Wy dobył z kieszeni chustkę, przy-
łożył ją do oczu i śmiał się tak, że
aż śmiech przechodził w łkania.

— Cha, cha, cha! cha! cha! cha!

Koniec.



<http://rcin.org.pl>



<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

1
AT

www.ferm.org.pl

<http://rcin.org.pl>